

W trudnych czasach nie wystarczą łatwe rozwiązania

⇒ **Ula Rybicka**, redaktor naczelna

Za nami pierwsza pandemiczna edycja festiwalu. Sierpniowe spotkania autorskie wyglądały inaczej niż zwykle – liczba miejsc dla publiczności była ograniczona, goście z zagranicy łączyli się z Sopotem przez Internet, a część z nas śledziła festiwalowe wydarzenia z domowego zacisza. Jak będziemy wspominać tę wyjątkową sytuację?

Z chwilą, gdy coś zostaje nam zabrane, oprócz smutku pojawia się pewna refleksja: zaczynamy doceniać to, co straciliśmy. I tak też było w Sopocie. Niegdyś przyjazd na festiwal mógł być czymś oczywistym, ale w tym roku jego akcje niewyobrażalnie wzrosły. Z rozmów, które odbyłam z pisarzami, dziennikarzami, wydawcami i uczestnikami festiwalu, wyłania się jedna, wyjątkowo optymistyczna myśl – dzięki pandemii doceniamy małe przyjemności, spotkania z przyjaciółmi, wyjazdy i wydarzenia kulturalne. Być może to pierwsza tak doceniona, radosna i nieco refleksyjna edycja Literackiego Sopotu.

Desperate times call for desperate measures – mogliby powiedzieć Kanadyjczycy, mając na myśli to, że w trudnych czasach nie wystarczą łatwe rozwiązania. Dlatego też na festiwalu, na którym wyjątkowe miejsce zajęła literatura Kanady, poruszane były także poważne i bolesne tematy. Wspólnie z pisarzami i dziennikarzami zastanawialiśmy się nad funkcjonowaniem pamięci historycznej i tym, dlaczego nie można jej ufać; jak przywracać godność ofiarom i co zrobić, byśmy dotkliwie nie odczuli skutków zmian w środowisku naturalnym wywołanych przez nas samych.

Wszystkim rozmowom przysłuchiwali się dziennikarze „Literackiej”, których artykuły znajdziecie Państwo w niniejszym wydaniu gazety festiwalowej. Oddaję w Państwa ręce wspomnienia i relacje z Sopotu przygotowane przez Magdalenę Bojanowską, Klaudię Czaboryk, Paulinę Frankiewicz, Julię Kapałę, Dominikę Prais, Emilię Sierżputowską, Dominikę Stańkowską, Aleksandrę Suchecką oraz – gościnnie – Filipa Fierka.

Daleko od raju Spotkanie z Madeleine Thien

⇒ **Dominika Prais**

Ze scen nagromadzonych na ścianach jaskiń najbardziej skomplikowane były wyobrażenia o raju – tymi słowami Madeleine Thien rozpoczyna książkę *Nie mówcie, że nie mamy niczego*. Cytat otwiera również piątkowe spotkanie z autorką, która przyznaje, że słowa odzwierciedlają pragnienie utopii, o którym chciała pisać.

Za dążenie do utopijnej rzeczywistości bohaterowie powieści muszą zapłacić wysoką cenę. Przekonują się, jak wiele można zniszczyć podczas walki o idealny świat. – *Myślę, że kryje się w tym zarówno nadzieja, jak i smutek mojej książki* – stwierdza Thien.

Zapytana o to, czy uczestnicy rewolucji kulturalnej i protestów na placu Tiananmen, o których pisze w powieści, mieli w tamtych trudnych czasach nadzieję, przytakuje. – *Tuż po horrorze II wojny światowej była wiara w to, że wszyscy mogą budować nowoczesne Chiny. Ta sama wiara pojawiła się również po rewolucji kulturalnej. Nadzieja ciągle się budzi w mojej książce* – konkluduje Thien.

Okruchy historii

Akcja jej powieści rozgrywa się na tle doniosłych wydarzeń z historii Chin od lat 60. i rządów Mao Zedonga aż do demonstracji na placu Tiananmen w roku 1989. To właśnie ostatnie zdarzenie stało się jednym z ważniejszych tematów rozmowy Sylwii Chutnik z kanadyjską pisarką. Gdy doszło do protestów, autorka miała zaledwie 15 lat. Pamięta je jedynie z relacji telewizyjnych i reakcji rodziców, którzy byli „poruszeni i zdruzgotani tym, co się wydarzyło”. – *Główna masakra odbywała się na ulicach, żołnierze zabijali ludzi, którzy starali się zatrzymać czołgi jadące na plac* – tego dowiedziała się już z materiałów, jakie udało jej się zebrać podczas pięciomiesięcznego pobytu w Chinach. Nie było ich wiele. – *W Chinach wszelkie demonstracje podlegają cenzurze. O Tiananmen nic się nie pisze, co pokazuje, jak silna była chęć wymazania protestów z historii. Rząd ciągle powtarzał, że w tym czasie na placu nikt nie zginął. Są jednak wydawnictwa, takie jak The Tiananmen Papers, dokumenty przeszmuglowane z Chin, dające ogłęd tego, jak w rzeczywistości mogły przebiegać wydarzenia 1989 roku. Starłam się zebrać te wszystkie okruciny* – mówi Thien.

Praca nad powieścią *Nie mówcie, że nie mamy niczego* przypominała jej stąpanie po twardej skorupie ukrywającej głęboki lej wypełniony niepewnością.

– Częścią procesu pisania tej książki, a także innych moich powieści, była próba objęcia tej powierzchni, która kształtuje nasze życie oraz wpływa na tak wiele instynktownych, nieświadomych decyzji i pragnień – mówi autorka.

Muzyka

Pisarka przyznaje, że w trakcie pracy nad *Nie mówcie, że nie mamy niczego* musiała się wiele nauczyć, chociażby o muzyce, z której uczyniła jeden z najważniejszych motywów swojej powieści. Dlaczego? – *Kiedy skończyłam Psy za płotem [wydaną w Polsce w kwietniu tego roku powieść o rewolucji Czerwonych Khmerów w Kambodży – przyp. DP] czułam, że zabrakło mi języka, żeby oddać to, na czym mi zależało. Zastanawiałam się, czy byłoby możliwe wprowadzenie do języka literatury zupełnie innej formy wyrazu, która niejako prześcignęłaby ten język* – mówi autorka. Tak muzyka stała się szkieletem jej powieści.

Towarzyszyła jej również podczas przygotowań do książki i samego pisania. – *To była ogromna przyjemność móc słuchać utworów muzycznych raz po raz i poznawać je tak intymnie, aby je poczuć, a potem zastosować jako swoją formę wyrazu* – przyznaje Thien. – *Myślę, że dzięki temu zrozumiałam, co było siłą napędową moich bohaterów. To momenty, w których mogli zagospodarować dla siebie jakąkolwiek przestrzeń* – dodaje. Muzyka odgrywa w życiu wielu z nich kluczową rolę. Dla Kaia, jednej z najbardziej tajemniczych dla Thien postaci, jest sposobem objaśniania świata. – *W tej powieści każdy ma zresztą swój własny język, na którym może polegać i dzięki któremu ma kontakt z rzeczywistością* – stwierdza pisarka.

Zło totalitaryzmu

O każdym z bohaterów można by również napisać osobną książkę – na tyle silne są ich osobowości, a losy złożone. – *Starłam się pokazać, co działo się z rodzinami w czasie rewolucji kulturalnej. Wydaje mi się, że udało mi się stworzyć poczucie kolizji doświadczeń i pokazać, jak bardzo były one niszczące. Bohaterowie znaleźli się w systemie totalitarnym, który oddziela jednostki od siebie. Na tym polega największe zło totalitaryzmu* – stwierdza Thien.



fot. Bogna Kociumbas

Nie lubię się uczyć, wolę tworzyć

Spotkanie z Patrickiem deWittem

⇒ [Aleksandra Suchecka](#)

Nie obchodzi mnie historia i podziały, skupiam się na emocjach płynących ze środka postaci – stwierdził Patrick deWitt. Choć urodził się w Kanadzie, a niemal całe życie mieszka w USA, to jego książki są na wskroś europejskie, dlatego tak nam bliskie.

Podczas pierwszego dnia festiwalu miało miejsce jedno z najważniejszych spotkań tegorocznej edycji Literackiego Sopotu. Kanadyjczyk Patrick deWitt jest pisarzem intermedialnym, który osiągnął międzynarodową karierę pisarską oraz filmową – przede wszystkim jako scenarzysta. Jego poetyka przypomina filmowy sposób obrazowania (wskazuje się często na jej podobieństwo do kina Wesa Andersona lub braci Coen) i z tego powodu czwartkowe spotkanie, prowadzone przez Aleksandra Hudzika, oscylowało w dużej mierze wokół zależności między literaturą i popkulturą.

Czytelnictwo w czasach zarazy

Ze względu na epidemię koronawirusa spotkanie miało formę wirtualnej rozmowy. Te niecodzienne okoliczności spowodowały pierwsze pytania dotyczące życia w izolacji. Autor *Braci Sisters* zauważył, że w przypadku pracy pisarza perspektywa spędzania większości czasu w domu niewiele zmienia, natomiast sytuacja obowiązkowej izolacji jest nie do zniesienia, ponieważ wywołuje poczucie tęsknoty za ludźmi. Tym, co przynosi ukojenie w dzisiejszych realiach, jest przede wszystkim literatura: *Teraz czytam głębiej, lepiej eksploruję język. Czytam książki, które dotyczą przyrody, opowiadają ludzkie historie* – przyznał deWitt. Spotkanie w Państwowej Galerii Sztuki miało niezwykle anegdotyczny i metaliteracki charakter. Oprócz opowieści o nagminnie przesiadującym w księgarniach ojcu oraz niechętnym stosunku syna do książek, deWitt poruszył także kwestię czynników, które wpłynęły na jego sposób pisania – najważniejszymi z nich były rodzina, kino i literatura, zwłaszcza brytyjska.

Literatura to kłamstwo

DeWitt kilkakrotnie podkreślił, że podobnie jak reszta rodziny ma skłonność do zmyślania i ubarwiania także prawdziwych historii, czyli, innymi słowy, do kłamania. Oczywiście kłamstwo jest tutaj rozumiane pozytywnie, ponieważ to dzięki niemu kanadyjski pisarz czerpie inspirację do kreowania tak wyrazistych i pełnych humoru postaci jak Lucy z *Podmajordomusa Minora: To postać z młodości, kiedy kłamałem, wymyślałem historie* – stwierdził autor. Fikcja w prozie deWitta bierze górę nad

prawdą historyczną: *Nie lubię researchować, to jak praca domowa, a ja nie lubię szkoły* – podkreślił, przyznając się jednocześnie do wielu pomyłek we własnym pisarstwie. Na pytanie Hudzika, czy za *modus operandi* swoich utworów może uznać kliszowość, autor odpowiedział, że wbrew powszechnej opinii wykorzystywanie klisz jest niezwykle owocne: *Klisze stają się kliszami, ponieważ są zawsze zrozumiałe i za każdym razem wywołują silne emocje. Ich jedynym grzechem jest to, że zostały już kiedyś opowiedziane. Uwielbiam korzystać z kliszy, ponieważ pozwalają moim czytelnikom utożsamiać się z bohaterami* – podsumował deWitt.

Zapowiedzi

Podczas czwartkowego spotkania w Państwowej Galerii Sztuki mieliśmy okazję poznać szczegóły dotyczące ekranizacji kolejnej powieści deWitta (pierwszą był film *Bracia Sisters* w reżyserii Jacquesa Audiarda). Dowiedzieliśmy się także, że niebawem możemy spodziewać się kolejnej powieści kanadyjskiego pisarza, która będzie poświęcona kompletnej biografii głównego bohatera, od urodzenia do śmierci. Podczas spotkania Hudzik kilkakrotnie zwrócił uwagę na polski deficyt w tłumaczeniach prozy deWitta – dotychczas ukazały się jedynie dwa przekłady, czyli *Bracia Sisters* oraz *Podmajordomus Minor*. Książką najbardziej wyczekiwaną przez polskich czytelników jest z pewnością *French Exit*, za którą „The Guardian” nadał deWittowi miano „geniusza humoru”.

”

Tym, co przynosi ukojenie w dzisiejszych realiach, jest przede wszystkim literatura.

fot. Bogna Kociumbas



Pisarz jak kameleon

Spotkanie z Nicolasem Dicknerem

⇒ [Dominika Prais](#)

Piszę powieści, bo długo nie byłem w stanie wybrać, co chcę robić w życiu. Moje zainteresowania są zbyt szerokie, abym mógł poświęcić się jednemu zawadowi – wyznaje Nicolas Dickner podczas niedzielnego spotkania prowadzonego przez Martę Perchuć-Burzyńską.

Bycie pisarzem pozwoliło mu nie dokonywać tego wyboru. – *Daje mi możliwość bycia kameleonem. Na potrzeby pisania mogę zmieniać swoje zainteresowania od socjologii przez archeologię po informatykę* – przyznaje autor. Widać to na przykładzie jego debiutanckiej książki *Nikolski*, która w sierpniu tego roku trafiła do polskich księgarń. – *To powieść polifoniczna, a pole jej tematów jest obszerne. Obecna wersja została i tak bardzo skrócona. W pewnym momencie musiałem po prostu dokonać wyboru, jakie pomysły porzucić* – mówi.

Podróż i cel

Książka opiera się na motywie podróży, który stał się punktem wyjścia do rozmowy o *Nikolskim*. Marta Perchuć-Burzyńska zapytała autora, co zarówno w pisaniu, jak i w podróży, jest dla niego ważniejsze: droga czy jej cel. – *Zdecydowanie wolę sam proces przemieszczania się* – przyznaje pisarz. – *Odbyłem kiedyś bardzo długą podróż autobusem z Montrealu do Gwatemali. Towarzyszyło mi w jej trakcie wrażenie, że znajduję się w pewnego rodzaju mikrokosmosie, mogę obserwować pejzaże, podróżować niejako w swojej głowie czy wręcz poddawać się medytacji. Perspektywa dotarcia do celu*



fot. Bogna Kociumbas

znacznie mniej mnie cieszyła, bo powodowała niepokój związany z organizacją noclegów, posiłków, czasu wolnego – opowiada.

Odrotny stosunek ma jednak do pisania. – *Prawdą jest, że postaci w *Nikolskim* nie doznają stałej satysfakcji, wciąż szukają „rozwiązań geograficznych”. To fałszywe rozwiązania, przez które są zdani na ciągłe bycie niezadowolonymi ze swoich wyborów. Ich postawa nie wyraża jednak mojego osobistego nastawienia do pisania. Lubię domykać projekty i przechodzić do kolejnych* – mówi. Z tego powodu tak trudnym procesem była dla niego praca nad *Nikolskim*. Poświęcił jej wiele czasu, tworząc kolejne wersje tekstu i skracając wątki. – *W pewnym momencie chciałem po prostu dojść do gotowego produktu* – przyznaje.

Mapy

W jego książce spletają się ze sobą losy trzech bohaterów, przemieszczających się z miejsca na miejsce w poszukiwaniu swojego przeznaczenia. W życiu każdego z nich, jak zauważa Marta Perchuć-Burzyńska, ważnym przedmiotem są mapy, co odzwierciedla osobistą fascynację autora. – *Kiedy miałem 10-11 lat, podczas wakacji zamiast chodzić na podwórkę, bawiłem się mapami, które wypełniały wielkie szuflady w moim domu. Nie pamiętam źródeł tego zainteresowania, ale wiem, że trwało bardzo długo. Nawet teraz na ścianach mojego biura znajdują się mapy* – opowiada. – *W ten sposób mapa stała się dla mnie więcej niż tylko odzwierciedleniem terenu. To przedmiot, który ma wartość metaforyczną. W *Nikolskim* jest reprezentacją postaci i ich obsesji, sposobu, w jaki konstruują swoją tożsamość. – Te obsesje i brak satysfakcji moich bohaterów są silnie zakorzenione w terytorium, w którym się narodzili, i stanowią powód, dla którego się przemieszczają.*

Inspiracje

Dickner przed napisaniem *Nikolskiego* również wiele podróżował. Opowiada, jak podczas różnych wyjazdów

zdarzało mu się spotykać swojego przyjaciela. – *Pewnego razu zaczęliśmy się zastanawiać, jak to możliwe, że na drugim końcu świata natykamy się na ludzi, z którymi mamy bliższe lub dalsze relacje, a jednocześnie możemy przeżyć kilka lat, nie widując naszego najbliższego sąsiada* – mówi. Przypomniało mu to motyw z powieści *Moby Dick*, w której autor wyjaśniał proces migracji wielorybów. – *One przemieszczają się nieprzypadkowo, w specjalnych korytarzach, co pozwala przewidzieć, gdzie w określonym czasie znajdzie się dany osobnik. Mój przyjaciel zasugerował, że być może my również wpadamy na siebie w różnych częściach świata, bo żyjemy jak wieloryby, przypisani do określonych korytarzy. Powiedziałem wtedy, że będę musiał napisać powieść, która przekona do tego, że takie korytarze istnieją. Nikolski o tym właśnie mówi.*

Ryzyko pisania

W jednym z wywiadów Nicolas Dickner powiedział o tej powieści jako o sumie własnych lęków. Na pytanie, czy obawiał się, że pisanie zaprowadzi go donikąd, odpowiada, że jego zdaniem większość pisarzy odczuwa ten niepokój. – *Przedstawiciele naszej grupy mają tendencję do cierpienia, bardzo często nie wierzą w swoje siły* – wyjaśnia. – *Pisząc powieść, stawiamy się w niebezpiecznej sytuacji, bo wypowiadamy wiele pomysłów i idei, które mogą zostać różnie odebrane. Jednocześnie nie mamy nad tym żadnej kontroli. To sprawia, że wielu pisarzy ma problem z wystawieniem się na to niebezpieczeństwo* – wyznaje autor.

Jak być wolnym człowiekiem

Spotkanie z Esi Edugyan

⇒ [Dominika Stańkowska](#)

Nastoletniego czarnoskórego chłopca przeniesiono z Karaibskiej plantacji do domu Tichbornów w Anglii. Miał tam służyć jako niewolnik. Historia chłopca zainspirowała Esi Edugyan do napisania książki *Washington Black*.

– *Nie interesowały mnie szczegóły sprawy Tichbornów, a psychika osoby, która została wyrwana z niewolniczego i brutalnego życia do zupełnie innego świata, w którym dana jej troszkę więcej wolności* – wyjaśniła pisarka. *Washington Black* to opis życia tytułowego bohatera, które przypada na lata 30. XIX wieku. Począwszy od jego ciężkiej pracy na plantacji na Barbados przez niespodziewaną przyjaźń z Tycim. Ich znajomość to początek przebudzenia głównego bohatera, który pragnie odnaleźć dla siebie miejsce w nieprzychylnym świecie.

Być niedostrzeżonym

W młodości latych Wash, główny bohater, służył na Barbados. Wyspa stanowiła dla niego nie tylko fizyczną granicę świata, ale była także jego mentalnym horyzontem. Młody chłopak nie był w stanie wyobrazić sobie innego życia niż to, którego doświadczył na plantacji. Prowadząca spotkanie, Dagny Kurdwanowska, zauważyła, że Wash starał się pozostać niedostrzeżonym. – *Tak naprawdę myślimy, że bycie niewidzialnym jest czymś negatywnym. Poczucie, że jest się częścią niedostrzegalnej masy, to tak naprawdę źródło bezpieczeństwa* – wyjaśniła Edugyan. Dlatego bohater na początku w ogóle nic nie mówi. Potakuje głową. Wypowiada pojedyncze zdania. – *Kwestia zabrania głosu, wyrażenia opinii jest dla niego przerażająca* – stwierdziła pisarka. Niewolnikom towarzyszy lęk, że jeśli coś powiedzą, przyciągną uwagę i możliwe, że spotka ich kara.

Wychodzenie z niewidzialności

Tyci odkrywa w młodym chłopcu talent do rysowania, razem przeprowadzają naukowe eksperymenty. W wyniku tragicznych wydarzeń obaj opuszczają wyspę na Przeszywaną Chmur. Tak zaczyna się ich wielka podróż przez różne kontynenty. – *Z czasem Wash zaczyna mówić coraz więcej* – opowiada autorka. Chłopak stara się zaważczyć o siebie i swoje nazwisko. Rozwija zainteresowania, staje się naukowcem. – *Jego siłą napędową jest fakt, że potrafi tak pięknie rysować i ma w sobie ciekawość naukową. Z czasem dostrzega, że jego talent nie zyskuje wystarczającego uznania. Nie jest zadowolony, że pod jego wynalazkiem może podpisać się ktoś inny. – Gdzieś głęboko w sobie uważa, że to jest ogromna niesprawiedliwość* – zauważyła Edugyan. Dlatego nasz bohater powoli wychodzi z niewidzialności. Podejmuje walkę, żeby jego dokonania zostały dostrzeżone. ⇨



fot. Bogna Kociumbas

”

To jest książka o różnych postaciach wolności.

Koncepcja wolności

– *Wash tak naprawdę nie wie, czym jest wolność. Kiedy opuszcza plantację, wolność jest dla niego czymś bardzo skomplikowanym. To nie jest tylko wolność fizyczna, chociaż ta też jest ważna* – stwierdziła Edugyan. Wolność nie polega tylko na tym, że bohater może swobodnie przechadzać się w jakimś kraju i czuć się częścią tkanki społecznej. Ze względu na kolor skóry i niewolniczą przeszłość Wash zawsze będzie innym. – *On mentalnie ciągle jest związany ze swoją przeszłością. Przez większość czasu nie zdaje sobie sprawy, że nie jest wolny także w swoim umyśle. Zмага się z ograniczeniami swoich własnych myśli i ograniczeniami struktury społecznej.*

Dla Edugyan wszyscy bohaterowie *Washingtona Blacka* są w jakiś sposób związani z koncepcją wolności. – *To jest książka o różnych postaciach wolności. Jak możemy być zniewoleni? Jakie mogą być ograniczenia wolności? To są pytania, na które znajdowałam odpowiedź w trakcie pisania książki* – opowiadała autorka. Może dlatego najnowsza książka kanadyjskiej pisarki miała aż siedem możliwych zakończeń. Najtrudniejszą częścią, chociaż przyznaje, że inne części też są trudne do napisania, jest właśnie zakończenie. – *Bo w powieści jest wiele tematów, które poruszamy, i na koniec muszą one gdzieś się spotkać razem. Tyle różnych zdarzeń przydarzyło się Washowi. Jak zamknąć te wszystkie wątki?* – zastanawiała się. W końcu to właściwe zakończenie odpowiedziało na pytanie o poszukiwanie własnego miejsca w świecie. Nie fizycznego, a takiego, które bohater sam dla siebie musi stworzyć poprzez relacje z innymi ludźmi.

Łatwiej mi zrozumieć różne punkty widzenia Spotkanie z Davidem Szalayem

⇒ [Emilia Sierzputowska](#)

O trudnościach w zdefiniowaniu domu i proroczej jakości literatury drugiego dnia festiwalu opowiadał autor urodzony w Kanadzie, wychowany w Anglii i mieszkający na Węgrzech.

Zdarza się, że Węgrzy poprawiają mnie w wymowie mojego nazwiska – wyznał David Szalay na spotkaniu w Państwowej Galerii Sztuki. Jego ojciec jest Węgrem, ale sam Szalay nie uczył się węgierskiego i słabo czyta w tym języku. – *Moje życie byłoby zupełnie inne, gdybyśmy nie opuścili Kanady; wtedy pewnie łatwiej byłoby mi powiedzieć, kim jestem* – przyznaje. Kiedy wraca do Budapestu, to czuje, że wraca do domu, jednak w szerszym sensie swoją tożsamość łączy z Anglią. Londyn, w którym się wychował, pojmuje jako dom (z którego ma ochotę uciec po kilku dniach pobytu).

To nie pierwszy raz

Przed spotkaniem Szalay i prowadząca Katarzyna Janowska przywitani się uderzeniem tokci. Panująca pandemia pojawiała się w rozmowie dość często. W kontekście najnowszej książki autora *Turbulencje*, której bohaterowie przemieszczają się po całym globie, a tytuły rozdziałów to kody lotnisk, obecna sytuacja związana z lockdownem ma paradoksalny wydźwięk. – *To niemal przedstawienie tego, jak rozprzestrzenia się wirus, czyli przez przypadkowe kontakty na całym świecie* – mówił autor. Zauważył jednak, że znów zaczynamy podróżować, choć w nowych warunkach.

Nie pierwszy raz zdarza się, że świat, który pisarz uchwycił w swoich książkach, obraca się o 180 stopni



po ich publikacji. W *London and the South-East* akcja często rozgrywa się w zadymionych pubach. Niedługo potem wprowadzono zakaz palenia w zamkniętych przestrzeniach. Czym jest człowiek pokazuje, jak łatwo jest przekraczać granice krajów w Europie. Tym razem odpowiedzią rzeczywistości był brexit.

Polityka zagraniczna

Pytania Katarzyny Janowskiej często zahaczały o politykę. Szalay jest zbulwersowany ograniczaniem wolności mediów na Węgrzech, jednak czuje, że wciąż może powiedzieć to, co myśli, bez ryzyka jakichkolwiek konsekwencji. – *Ostatnie wybory samorządowe zakończyły się zwycięstwem opozycji, więc wierzę, że sytuacja może się zmienić, jeśli tylko opozycja przedstawi spójny pomysł na kraj* – przyznał.

Prowadząca pytała również o jego stosunek do Kanady, kojarzonej według niej z rajem na ziemi i zawsze uśmiechniętym premierem. W ciągu ostatniego roku Justin Trudeau trafiał na czołówki gazet w niekoniecznie pozytywnych okolicznościach (m.in. afera „brownface”), więc Szalay odpowiedział, iż wydaje mu się, że premier jest obecnie bardziej popularny za granicą niż w kraju. Kanada to kraj jak każdy inny, dodał, również ma swoje problemy.

Literatura a inne media

Warto zauważyć, że styl jego najnowszej książki w dużej mierze ukształtował rygor radiowy. Napisanie historii było pierwotnie zlecone przez BBC, miały być zaadaptowane na antenę. Jako że słuchacze często wykonują różne czynności, słuchając radia, więc fabuła musiała szybko przechodzić do sedna sprawy. Ograniczona długość i przestrzeń na ekspozycję wymagały dyscypliny w pisaniu, tym bardziej, że części musiały powstawać dość szybko.

Również film odegrał istotną rolę w twórczości pisarza. *Dekalog* Krzysztofa Kieślowskiego był inspiracją do poprzedniej książki *Czym jest człowiek*, zbioru opowieści o bohaterach zmagających się z sytuacją, w której się znaleźli. – *Przez to, że film jest jedną z dominujących form narracyjnych, staram się wykorzystywać te możliwości literatury, które są niedostępne dla języka filmowego* – dodał Szalay.

fot. Bogna Kociumbas

Adam i Ewa na końcu świata Spotkanie z Michaelem Crummeyem

⇒ [Paulina Frankiewicz](#)

W niedzielny wieczór połączyliśmy się z Nową Fundlandią. Z Michaelem Crummeyem, wybitnym powieściopisarzem, znawcą ludzkich charakterów i historii wschodniej Kanady, rozmawiał Łukasz Wojtusik.

Bez winy to szósta powieść Crummeya, która ukazuje się w Polsce. Książka trafia do czytelników bezpośrednio przed rozpoczęciem spotkania, jej treść pozostaje więc tajemnicą do odkrycia. Ta historia od dawna pracowała w umyśle autora. A zaczęło się od krótkiego artykułu, odnalezionego właściwie przypadkiem.

Początek opowieści

Rzecz opowiadała o duchownym, który przemieszczając się do jednego z miejsc postługi, natrafił na osierocone rodzeństwo żyjące samotnie w zatoce. Szybko zorientował się, że dziewczyna jest w ciąży, a że nikogo poza nimi tam nie było, wysnuł hipotezę, że jej brat musi być ojcem dziecka. Początkowo Crummey nie chciał tego tematu dotykać, nie sporządził nawet wyczerpującej notatki po lekturze artykułu. Starał się o tym zapomnieć, jednak, jak przyznaje, tych dwoje nigdy go nie opuściło, przez ostatnie lata przebijając się do jego świadomości. Myśli o tym, co się wydarzyło i co dalej działa się z rodzeństwem, były tak silne, że autor postanowił „wskoczyć” do tej opowieści i dać się jej ponieść.

Adam i Ewa

W powieści najmocniejsza jest pierwsza scena. Blisko dziesięcioletni Ada i Evered tej samej zimy tracą siostrę i rodziców. Zostają sami, pozbawieni historii, odarci z tożsamości. Samotni. Surowy klimat, konieczność samodzielnego zdobywania pożywienia drogą polowania czy zbierania owoców to okrutne, zwłaszcza dla dzieci, realia, w których hartują się i dojrzewają główni bohaterowie.

Tak jak poprzednie książki Nowofundlandczyka, także *Bez winy* zawiera w sobie kilka warstw. Jednym z wątków jest wiara, rozumiana na ponadinstytucjonalnym poziomie. Bo choć świat Ady i Evereda pozbawiony jest Boga i religii, zagadnienie ponadnaturalnej siły nie pozostaje w nim bez znaczenia. Całą powieść można zresztą czytać jako alegorię raju. By podsunąć jeszcze jeden trop, ciekawie rysuje się tu opozycja natura/kultura. Tę ostatnią ucieleśniają żeglarze i kupcy, którzy przybywają do odciętego od świata zakątka. I jeszcze jeden znaczący detal: statek Nadzieja, który cumuje w zatoce tylko dwa razy do roku.



fot. Bogna Kociumbas

”

Choć świat Ady i Evereda pozbawiony jest Boga i religii, zagadnienie ponadnaturalnej siły nie pozostaje w nim bez znaczenia.

Codzienny trud

Crummey napisał powieść uniwersalną. Choć akcja osadzona jest w Nowej Fundlandii, jednak z powodzeniem mogłaby się rozegrać pod inną szerokością geograficzną. Wchodząc na pewien stopień ogólności, każdy z nas może przejrzeć się w tej historii o instynktach, walce, codziennym trudzie. I poczuć emocje towarzyszące bohaterom.

Książki będą na półkach, nawet te źle urodzone Spotkanie z Aaronem Lanskyem

⇒ [Filip Fierek](#)

Brawurowy projekt ratujący żydowską literaturę mógłby być mrzonką lub scenariuszem amerykańskiego filmu. Mógłby, gdyby nie fakt, że ocalenie przed zniszczeniem ponad miliona książek wydarzyło się naprawdę. I ma jednego ojca, Aarona Lansky'ego.

„Wyobrażam sobie ziemię Kiedy mnie nie będzie / I nic, żadnego ubytku, dalej dziwowisko, Suknie kobiet, mokry jaśmin, pieśń w dolinie. / Ale książki będą na półkach, dobrze urodzone / Z ludzi, choć też z jasności, wysokości” – pisał Miłosz w jednym z częściej cytowanych wierszy.

Historia ocalenia

W utworze *Ale książki* kondensują się retroaktywnie wszystkie wątki, jakie we wspomnieniach *Przechytrzyć historię* podjął Lansky, człowiek instytucja, postać, której literatura jidysz zawdzięcza swe ocalenie. Może zresztą nie aż tak retroaktywnie; choć w języku angielskim książka Lansky'ego ukazała się w 2004 roku, podczas gdy wiersz Miłosza liczy sobie ponad 30 lat, Lansky działał już wówczas, gdy polski noblista pisał te słowa. Swoją pracę zaczął bowiem w latach 70., do dnia dzisiejszego zaś udało mu się zgromadzić w Yiddish Book Center ponad milion książek.

Apoteozę książki jako przedmiotu zrodzonego „z ludzi, choć też z jasności, wysokości”, którą we właściwym sobie stylu wygłosił Miłosz, Lansky uczynił treścią swojego życia. Właśnie o tym opowiadał w niedzielne popołudnie Magdalenie Kicińskiej i publiczności zgromadzonej na Scenie Kameralnej Teatru Wybrzeże. Wszystko to dzięki wysiłkowi wydawnictwa Smak Słowa, które w 2020 roku – a więc po 16 latach od publikacji książki Lansky'ego w Stanach Zjednoczonych – postanowiło przybliżyć jego historię także polskim czytelnikom.

Życie bez Zagłady

Aaron Lansky rozpoczął opowieść od wczesnej fazy swego projektu. Mówił, że już podczas studiów bardziej niż mechanizmy Zagłady interesowało go życie, któremu Zagłada zadała kres. Zaczął wówczas projekt, któremu, jak miało się okazać, poświęcił całe życie: odwiedzał ludzi, którzy w swych bibliotekach przechowywali książki napisane w jidysz, języku Żydów aszkenazyjskich. Na samym początku robił to w pojedynkę, później jednak zbudował wokół siebie zespół oddanych sprawie ludzi. Nie dość, ⇒

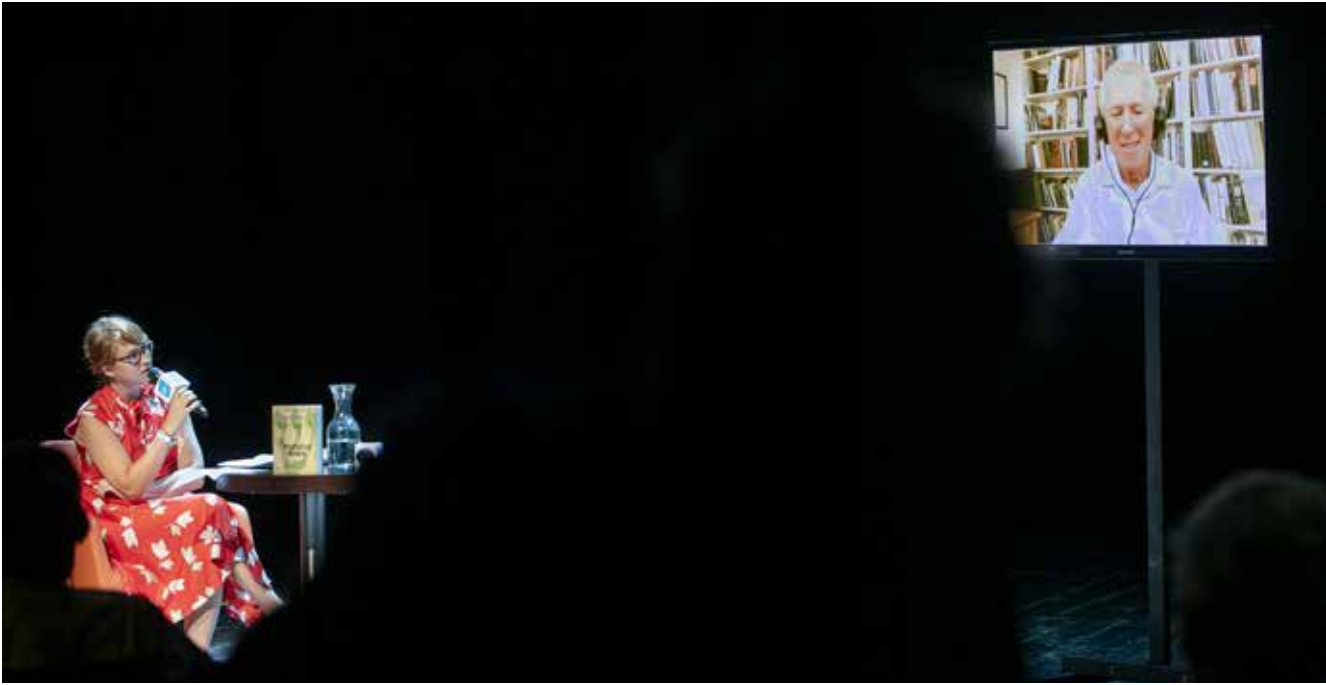
że z racji swego ogromu nie była to praca przeznaczona dla jednej osoby, to każdy z gospodarzy ofiarujących księgozbiory raczył wolontariuszy ciastem i długimi opowieściami – stąd też część ekipy siadała z nim przy stole, podczas gdy pozostali przystępowali do archiwizowania interesujących ich pozycji.

W rezultacie – jak mówił Lansky – powstało Yiddish Book Center, największa na świecie instytucja gromadząca książki napisane w jidysz. Część zbiorów jest już zdigitalizowana, dzięki czemu można zapoznać się z nimi z każdego miejsca na świecie. Z drugiej strony zaledwie 2% wszystkich tytułów zostało przetłumaczonych z jidysz na angielski. Pokazuje to, jak niewielki kontakt ma wciąż z tą literaturą szeroka publiczność. Mamy jednak prawo wierzyć, że skoro Lansky’emu udało się ocalić słowo drukowane, przekład jest już tylko kwestią czasu.

Jesteśmy

Przywoływane na początku tekstu słowa Miłosza zamykają jego utwór; chwilę wcześniej mowa w nim o pewności, jaką podmiot liryczny żywi co do losu słowa drukowanego, obojętnego na dziejowe zawieruchy: „Jesteśmy – mówiły, nawet kiedy / wydzierano z nich karty / Albo litery zlizywał buzujący płomień”. Czy Miłosz w tym zgoła platońskim wierszu nie idzie jednak o krok za daleko, przypisując książkom niejako odrębny status ontyczny, niezależny od tego, co przydarzy się ich fizycznemu ciału? Sądzę bowiem – i nie jestem zapewne

fot. Bogna Kociumbas



w tej opinii odosobniony, o czym zaświadczała choćby frekwencja niedzielnego spotkania – że książki napisane w jidysz, książki źle urodzone, będą na półkach, mówiąc „jesteśmy”, tylko dzięki Lansky’emu, człowiekowi, który przechytrzył historię.

”
Książki napisane w jidysz, książki źle urodzone, będą na półkach dzięki człowiekowi, który przechytrzył historię.

Przerażająca zwyczajność Spotkanie z Pawłem Piotrem Reszką

⇒ *Ula Rybicka*

Drugiego dnia festiwalu odbyło się spotkanie poświęcone książce *Płuczki. Poszukiwacze żydowskiego złota* Pawła Piotra Reszki. Porusza ona ważny temat dehumanizacji Żydów na terenach byłych obozów w Bełżcu i Sobiborze.

Płuczki, reportaż wydany w ubiegłym roku, który szturmem zdobywa nominacje do wszystkich najważniejszych nagród literackich w Kraju, jest książką niezwykle istotną dla polskiej narracji historycznej.

Gorączka złota

Reportaż Reszki porusza temat kopaczy, którzy jeszcze wiele lat po zakończeniu wojny przekopywali tereny poobozowe w poszukiwaniu złota. Gdy podczas tego procederu zostali złapani, często tłumaczyli, że nie są niczemu winni – nie było przecież znaku zabraniającego przekopywania terenów, na których pochowani byli Żydzi. Autor przyznał, że to było uderzające w zeznaniach zatrzymanych; nikt nie przyznawał się do bezczeszczenia grobów. Natomiast kopaczom często towarzyszyło poczucie Krzywdy – zostali zatrzymani za coś, co w świetle prawa nie było zabronione.

Przesuwanie granic

Prowadzący spotkanie Łukasz Wojtusik skupił się na emocjach, które towarzyszyły powstawaniu książki reporterskiej, jako że wywołuje ona ich wiele – obok lektury o tak kontrowersyjnym temacie nie sposób przecież przejść obojętnie. Reszka przyznał, że *Płuczki* to historia jego zdziwień i często musiał sobie przesuwając granice podczas pisania reportażu. Pracę nad nim rozpoczął jednak od dokładnej analizy archiwów i dokumentów, dopiero po ich poznaniu wyruszył w teren, by rozmawiać z kopaczami lub ich rodzinami. Jak sam przyznał, kontakt z nimi był dla niego czasem rozczarowujący, ponieważ ich odpowiedzi na pytania były niezwykle lapidarne.

Jeden z rozmówców na przykład opowiadał o przekopywaniu obozów jak o młodzieńczej przygodzie, o czymś, czym można się raczej pochwalić, niż odczuwać wstyd. Zapytany o stosunek do kopaczy Reszka przyznał, że czuł mniejszą lub większą niechęć, jednak nigdy tego nie okazywał. Autor *Diabła i tabliczki czekolady* przyznał też, że to, co wydarzyło się w byłych obozach w Bełżcu i Sobiborze, było w pewien sposób w tamtych czasach przerażająco zwyczajne.

Jak znika człowiek

Podczas spotkania przywołana została także wypowiedź prof. Michała Bilewicza cytowana w książce Reszki. W pewien sposób starał się on wyjaśnić i być może

usprawiedliwić czyny tych, którzy bezcześcili miejsca pochówku Żydów: „Język, którym się posługujemy, też pomaga ukryć prawdziwą naturę rzeczy. Pełen eufemizmów pozwala działanie niemoralne obrócić w działanie moralnie neutralne. (...) Człowiek, który kopał na cmentarzu, (...) nie grzebał w spalonych zwłokach, on przeszukiwał żużel albo węgiel, nie kawałkował topa-tą ciał, tylko ciał rąbanek”. Czy jest to wystarczające usprawiedliwienie?

Mimo wielu wątpliwości i pytań o moralność, warto zaznaczyć, że sama rozmowa o ofiarach przywraca o nich pamięć. Mimo tłącej się w Polsce niechęci do Innego dzięki takim dziełom jak *Płuczki* jesteśmy w stanie oddać zmarłym i wykluczonym należny szacunek. Wśród zgromadzonej publiczności zasiedli między innymi prof. Jan Hartman, który dopowiedział, jak po wojnie zamazywano pamięć o żydowskich ofiarach obozów koncentracyjnych, oraz prof. Monika Płatek, która zadała pytanie o możliwą korelację między terenami, na których niegdyś działali kopacze, a obecnymi gminami, które ogłosiły, że są „strefami wolnymi od LGBT”.

”
Mimo tłącej się w Polsce niechęci do Innego dzięki takim dziełom jak Płuczki jesteśmy w stanie oddać zmarłym i wykluczonym należny szacunek.



Wiara, czyli z czego ulepiony jest człowiek Spotkanie z Mikołajem Łozińskim

⇒ *Filip Fierek*

Bohaterowie Stramera zostali ulepieni z nadziei i wiary, czyli z krwi i kości – to rzecz rzadka we współczesnej produkcji literackiej, która coraz częściej porzuca egzystencjalną refleksję na rzecz eksperymentu stylistycznego, innowacji językowej lub doraźnego zaangażowania politycznego.

Istnieją takie teksty kultury, które – choć nie zaliczylibyśmy ich bezpośrednio do kręgu reprezentacji Zagłady – w sposób niezwykle przejmujący nam o niej przypominają. Jest tak choćby w przypadku dokumentu *Po-lin. Okruchy pamięci* Jolanty Dylewskiej portretującego życie polskich Żydów na terenach II Rzeczypospolitej w przededniu wojny. Dzieło Dylewskiej, szperającej w archiwach w poszukiwaniu starych taśm, na których zapisano się codzienne życie tych, których już nie ma, jak w soczewce skupia wszystkie paradoksy związane z tym, czym fotografia, a w konsekwencji także film (będący przecież „rucho-mym obrazem”), jest w swojej istocie – uobecnianiem przeszłości w teraźniejszości.

Utrata

Podobną robotę w polu polskiej kultury starano się wykonać także w języku: zarówno Marek Bieńczyk w *Twor-kach*, jak i Tadeusz Słobodzianek w *Naszej klasie*, nie podejmując się opisu śmierci w komorze gazowej albo nad wykopanym na potrzeby zbiorowej egzekucji do-łtem, zdecydowali się na przywoływanie minionego życia w jego pełni. We wszystkich wymienionych do tej pory utworach – a mamy przecież do czynienia z formami tak różnymi jak powieść, dramat i film dokumentalny

– Zagłada przywołana zostaje, wprost lub jedynie w postaci domyślanego przez odbiorcę finału historii, jako utrata (nad rzeką Utratą leżą w końcu Tworki), w wyniku której obecność przemienia się w *nieobecność* lub też – innymi słowy – powstaje niedający się wypełnić brak.

Refleksja

Trudno oprzeć się wrażeniu, że *Stramera*, najnowszą książkę Mikołaja Łozińskiego, pierwszego gościa cyklu *Nogaś na plaży* w ramach tegorocznej edycji Literackiego Sopotu, można czytać podobnym kluczem. Taka propozycja interpretacji nabiera szczególnej wagi, jeśli weźmie się pod uwagę, że w trakcie spotkania Łoziński, zapytany przez Michała Nogasia, czy bohaterowie jego powieści *od pewnego czasu wiedzieli, że są zakładnikami wydarzeń rozgrywających się ponad ich głowami*, odpowiedział krótko: *Wierzyli, tak jak my wierzymy*. Z odbywającej się na sopockiej plaży rozmowy moglibyśmy wnioskować więc, że bohaterowie *Stramera* zostali ulepieni z nadziei właśnie i wiary, czyli z krwi i kości – rzecz rzadka we współczesnej literaturze, która coraz częściej porzuca egzystencjalną refleksję na rzecz eksperymentu stylistycznego, innowacji językowej i doraźnego zaangażowania politycznego. Podkreślana przez Łozińskiego wiara bohaterów w to, że ich życie potoczy się tak, jak tego pragną, jest dla czytelnika tym bardziej dojmująca, że w przeciwieństwie do nich wie on, jak te oczekiwania zweryfikowała nadciągająca rzeczywistość.

Wiara

Wierzyli, tak jak my wierzymy. Warto zwrócić uwagę, że rozmowa Łozińskiego z Nogasiem orbitowała nie tylko wokół twórczości tego pierwszego – *Stramer* okazał się także punktem wyjścia do refleksji o współczesnym pejzażu politycznym. Autor *Reisefieber*, mówiąc o potrzebie wiary, przywołał zatem przykład Białorusinów, których opór doprowadzi być może do obalenia dyktatury Aleksandra Łukaszenki. Apelowo: *Jeśli wszyscy stracimy nadzieję, to na pewno nic z tego nie będzie*.

Premiera

Łoziński, przygotowując *Stramera*, co zajęło mu osiem lat, musiał – jak sam wyznawał Nogasiowi – wcielić się w rolę detektywa. Mówił, że dwa lata spędził na poszukiwaniach w różnych archiwach. Przygotowanie podłoża dokumentalnego dla swojej powieści nie wyszłoby mu, gdyby nie zaangażowanie wielu różnych osób, którym dziękował podczas spotkania. Równie entuzjastycznie odniósł się do swoich czytelników, a zatem zgromadzonej publiczności, przyznając, że spotkania autorskie to dla niego jedna z niewielu okazji, by dowiedzieć się, dla kogo wkłada tyle wysiłku w pisanie książek. Czytelnicy dowiedzieli się z kolei, że nie miał racji Nogaś, żartując, iż na kolejne dzieło Łozińskiego – zważywszy tempo, w jakim pisał dotychczasowe – trzeba będzie czekać do 2037 roku: premiera książki dla dzieci autorstwa Łozińskiego będzie bowiem miała miejsce jeszcze w tym roku.

fot. Bogna Kociumbas

Co bulwersuje reportera? Relacja ze spotkania z Maciejem Zarembą Bielawskim

⇒ [Filip Fierek](#)

Na przestrzeni ostatnich lat ukazały się dwie doskonałe książki, których autorzy postawili przed sobą zadanie trudne do wykonania: opowiedzieć historię kilku pokoleń swojej rodziny i w toku tej opowieści rozplątać polsko-żydowski węzeł, jaki powstał z chwilą ich narodzin. Węzeł, którym są oni sami.

Mowa o znakomitych *Fałszerzach pieprzu* Moniki Sznajderman i o *Domu z dwiema wieżami* Macieja Zaremby Bielawskiego. Te historie rodzinne wiele być może dzieli, ale też wiele – z pewnością więcej – łączy.

Polscy Żydzi
W *Fałszerzach pieprzu* Sznajderman przedzie dwie osobne nici opowieści – jedna z nich to historia polskiej rodziny ze strony matki (nie brak tu zwolenników Dmowskiego i antysemitów, w pamięci rodziny przechował się też etos szlachecki), druga to historia żydowskich przodków autorki ze strony ojca (są tu i prześladowania w latach 30., i tragiczne śmierci podczas Zagłady). Zaremba Bielawski, owszem, opisuje w swojej książce dorastanie w Polsce gomułkowskiej, przerwane emigracją do Szwecji po Marcu ’68, ale w jeszcze większej mierze zajmują go losy ojca (wybitnego psychiatry, w czasie wojny więźnia oflagu) i matki (Żydówki dorastającej w Krzeszowicach, a potem, po 1939 roku, uciekającej przed nazistowskimi oprawcami), a także dziadków.

Stawką obu książek jest przywrócenie pamięci o przodkach ich autorów, nawet jeśli pamięć matczyna i pamięć ojcowska nie spotykają się ze sobą. U Sznajderman znajduje wyraz już na poziomie kompozycji – jej opowieść, jak już wspomniano, to dwie osobne historie, które łączy dopiero cud narodzin. U Zaremby Bielawskiego widać to najlepiej w rozdziale dotyczącym wojennych losów rodziców – chronologicznie snute domysły, rozpisane na głosy, sugerują, jak różne mogły być – i jak różne w istocie były – doświadczenia polskiego oficera i polskiej Żydówki.

Strategie walki
To właśnie *Dom z dwiema wieżami* i jego autor byli bohaterami niedzielnego spotkania w cyklu *Nogaś na plaży* zorganizowanego na Scenie Kameralnej Teatru Wybrzeże. Tym razem nie nad samym morzem, ponieważ z powodu pandemii organizatorzy Literackiego Sopotu musieli potączyć się z mieszkającym w Szwecji Zarembą Bielawskim za pośrednictwem Internetu. To właśnie od pandemii i strategii walki z nią Michał Nogaś rozpoczął

rozmowę z gościem. Zaremba Bielawski, który już kilka miesięcy temu w wywiadzie opublikowanym na tamach „Gazety Wyborczej” entuzjastycznie oceniał szwedzkie rozwiązania epidemiczne i niezłomną postawę Andersa Tegnella, podtrzymał swoje zdanie, chwalać jednocześnie Szwedów za nieuleganie podsycanej przed media panice.

Wysokie ciśnienie
Autor *Higienistów*, książki, która w Szwecji odbiła się głośnym echem, bo opisywała eugeniczne praktyki państwa opiekuńczego, wyznał, że w dalszym ciągu jako reportera interesują go wyłącznie tematy bulwersujące, takie, które podnoszą ciśnienie i wobec których nie sposób przejść obojętnie. Tak właśnie było w przypadku *Higienistów*, których publikacja i fakt, że pomimo pochodzenia autora tylko raz spotkał się on z krytyką odwołującą się do jego miejsca urodzenia, uczyniły go po raz pierwszy – nawet jeśli nie kulturowo, to w sensie obywatelskim – Szwedem. Warto podkreślić, że już reportaże o eugenicznych zapędach rządu szwedzkiego inspirowane były osobistą historią autora – Oskar Bielawski, wybitny psychiatra, będący niemalże polskim Phillipe’em Pinelem, miał też drugie oblicze: zamieszany był przecież w krzewienie idei eugenicznych. Pisząc *Dom z dwiema wieżami*, Zaremba Bielawski nie ustawał w rozliczaniu narodowej wersji historii, ale też zbiorowej i osobistej pamięci. Choć w przeciwieństwie do Sznajderman nie udało mu się znaleźć wśród swych przodków zajądłych endeków czy żydożerców, nie wyklucza, że i tacy byli przodkami jego ojca.

Zaremba Bielawski rozliczył się więc w wydanych przez Karakter wspomnieniach zarówno z losami swojej rodziny, jak i z własną pamięcią. Oto co tym razem bulwersowało go jako reportera: niemożność zrozumienia samego siebie w swym młodościowym wcieleniu.

fot. Bogna Kociumbas



Od pamięci do zapomnienia Spotkanie z Marią Stiepanową

⇒ [Dominika Stańkowska](#)

Podczas spotkania autorskiego w Sofii Maria Stiepanowa opowiadała o przyjacielu prababci. Nagle jeden z prowadzących zaczął dziwnie się zachowywać. Pisał smsy, dzwonił. W końcu wyszedł z sali. Gdy wrócił, przeprosił za swoje zachowanie. Okazało się, że ten przyjaciel był bratem jego dziadka.

– *To był cud, który się zdarzył dzięki pracy pamięci* – tak podsumowała to zdarzenie rosyjska poetka i eseistka. Pracę pamięci widać także w jej najnowszej książce. *Pamięci pamięci* to – według słów prowadzącej, Marty Perchuć-Burzyńskiej – gęsta i nasyczona książka. Książka nie tylko o mechanizmach pamięci, ale saga rodzinna, wielka historia zawarta w osobistej relacji i dzieje codziennych, niepozornych przedmiotów. Jednocześnie to także wnikliwy esej o sztuce i twórcach, którzy podejmowali temat pamięci.

Żeby zapamięć, trzeba będzie zapamiętać
Autorka *Pamięci pamięci* pisała tę książkę całe dotychczasowe życie. – *Mam szkolny zeszyt, w którym zaczęłam pisać, gdy miałam dziesięć lat. Tam jest kilka kartek z brudnopisem. Stiepanowa nie potrafiła wyjaśnić, co ją skłoniło do spisania historii rodzinnej. Może to śmierć ciotki, która zostawiła po sobie wiele zapisanych zeszytów, pełnych bardzo szczegółowych zapisków życia: ile kosztują ogórki, jaka była pogoda, ile czasu zajmuje*

podróż koleją. – *Nie dało się z tego nic wynioskować* – opowiadała. Jednocześnie w tych bezsensownych notatkach była odtworzona przeszłość w taki sposób, że dawała pełen obraz. – *Widzisz niby wszystko, ale to jest widmo życia.*

Tymi notatkami, jak i innymi rodzinnymi pamiątkami, posługiwała się Stiepanowa w swojej książce. W trakcie pracy między innymi przepisywała listy najbliższych członków rodziny. – *Wydaje mi się, że ja na chwilę stałam się nimi, bo jak posługiwałam się ich językiem, lepiej ich rozumiałam i myślałam tak jak oni* – wyjaśniła. Chciała podjąć próbę zrozumienia przeszłości, wczuć się w życie swoich przodków.

Książka jako instalacja przestrzenna
Dla Stiepanowej pamięć to rzecz indywidualna, emocjonalna, nie operuje faktami, a wyobrażeniami o faktach. – *Więc każda rozmowa o pamięci powinna zaczynać się i kończyć stwierdzeniem, że pamięć jest niedoskonała* – dodała. Nasza zdolność do wspomniania i sam proces wspomniania mówi o nas więcej niż to, co próbujemy sobie przypomnieć. Według eseistki pamięć jest o wiele ważniejsza niż „monolit lakierowanej historii”. Możliwość opowiedzenia każdej historii, małego życia jako oddzielnego bytu zasługującego na uwagę. – *Zwrócić uwagę na historie, w których nie wydarzyło się nic szczególnego. Ludzie żyli i umarli. Wydaje mi się, że brakuje takich historii.*

– *Wspominając członków rodziny, wspomina pani, jak dwuznaczne jest to zajęcie* – przypomniała prowadząca. Może woleliby zostać w cieniu? Chcieli pozostać niezauważeni? W ciągu swojego życia zrobili przecież wszystko, by z cienia nie wychodzić. Pisarka podkreśliła, że nie miała możliwości zapytać każdego członka rodziny o zdanie. – *Chociażby z tego względu, że opowiadam historię nie jednego człowieka, a rodziny* – wyjaśniła. Jej sposobem na to, by rodzina pozostała niezbyt odwołana, było nieumieszczanie zdjęć. Zamiast tego pisarka szczegółowo opisała rodzinne fotografie. – *Pozostawienie ich jako opisanych w tekście jest sposobem na pozostawienie ich niewidzialnymi.*

Jedyna fotografia, jaka znajduje się w książce, pochodzi z rodzinnego archiwum. – *Myślę, że to idealna ilustracja do tego, co myślę o pamięci* – wyjaśniła Stiepanowa. Na fotografii znajduje się prawdopodobnie jej prababcia. Zwrócona jest plecami do fotografującego. – *I nigdy nie dowiem się, czy na tej fotografii znajduje się faktycznie ona. To jest dla mnie symbol próby zrozumienia przeszłości. Zrozumienia, którego może nie będziemy w stanie nigdy uzyskać.*

„
Pamięć jest o wiele ważniejsza niż „monolit lakierowanej historii”.

O pamięci, która trwa Spotkanie z Anne Applebaum

⇒ [Magdalena Bojanowska](#)

Ostatniego dnia Literackiego Sopotu odbyło się spotkanie wokół książki *Czerwony głód*. Anne Applebaum, dziennikarka, pisarka i badaczka historii, opowiedziała o przyczynach Wielkiego Głodu na Ukrainie, o tym, dlaczego Putin myśli podobnie jak Stalin, i o wiecznie żywej pamięci.

Badaczka historii w rozmowie z Agatą Passent opowiedziała o genezie Wielkiego Głodu na Ukrainie. Podkreśliła, że należy zrozumieć, że nie wynikał on z przyczyn naturalnych, np. długotrwałej suszy, ale grupy ludzi przychodziły do wioski i zabierały jedzenie: zboże, fasole, krowy.

Następna może być Moskwa
– *Dla Stalina Ukraina zawsze była problemem. To była jedna z republik Związku Radzieckiego, która miała swoją tożsamość i była za duża, żeby ją zniszczyć. Dlatego on ciągle się bał, że polityka i rewolucje narodowe, nacjonalistyczne mogą mieć wpływ na Moskwę* – powiedziała dziennikarka. Podkreśliła, że Stalin uważał, że to właśnie Ukraina może być przyczyną upadku ZSRR. – *To jest ciekawe, bo jego myślenie jest podobne do myślenia Putina. On też się boi, że rewolucja na Ukrainie będzie miała wpływ na Moskwę. Kiedy widział w 2014 roku, że Ukraińcy są na Majdanie, mają flagi europejskie i wypowiadają się przeciwko korupcji, to myślał, że następna może być Moskwa* – zaznaczyła autorka książki.



Ideologiczny fanatyzm
Applebaum podkreśliła, że w swojej książce próbowała pokazać zjawisko głodu z różnych punktów widzenia – władzy, ludzi, którzy go doświadczyli, ale i tych, którzy zabierali im jedzenie. – *80 lat później trudno zrozumieć, co było u nich w głowie, ale trzeba powiedzieć, że ludzie się bali, że jeśli nie będą współpracować z władzą, to ten głód też dotknie ich i ich dzieci, że stracą pracę albo dom, że trafią do gułagu* – tłumaczyła badaczka. Dodała, że byli także ludzie, którzy tak ślepo wierzyli w ideę komunizmu, że myśleli, że kolektywizacja jest dobrym planem, że jest przyszłością. – *Oni zrozumieli, że [rolnicy – przyp. red.] to ludzie ze starego świata i tylko im przeszkadzają w budowaniu tego raj. To był taki ideologiczny fanatyzm* – powiedziała.

Wciąż żywa pamięć
Applebaum została zapytana także o to, czy pamięć o Wielkim Głodzie jest żywa, czy „na tyle zepchnięta przez propagandę, że mało się o nim mówi”. – *To jest przykład, jak pamięć się zmienia. Zawsze sobie myślimy, że o rzeczach, które się wydarzyły, zawsze jest jakaś pamięć i ona jest trwała. Głód na Ukrainie miał miejsce 80 lat temu i początkowo pamięć o nim była celowo niszczona, do tego stopnia, że biuro cenzury próbowało zmienić liczbę mieszkańców kraju. Robiono wówczas spis i okazało się, że jest niewystarczająco dużo ludzi. Stalin spodziewał się, że będzie ich więcej* – wyjaśniła pisarka. Jak podkreśliła, było to tak zakłamywane, że zmieniono demografię, statystykę i historię, a ludzie, którzy próbowali mówić o tym, co się naprawdę wydarzyło, byli poddawani represjom. Applebaum zaznaczyła, że Czerwony głód nie jest książką poruszającą tylko temat zbrodniczego planu przywódcy Związku Radzieckiego, ale i tego, jak pamięć, mimo starań władz, wciąż trwa.

„
Było to tak zakłamywane, że zmieniono demografię, statystykę i historię, a ludzie, którzy próbowali mówić o tym, co się naprawdę wydarzyło, byli poddawani represjom.

fot. Bogna Kociumbas

Bębenek antysemityzmu wciąż jest podbijany

Spotkanie z Mirosławem Tryczykiem

⇒ [Paulina Frankiewicz](#)

Choć Literacki Sopot odbywa się w nadmorskim kurorcie, to jego przedmiotem zainteresowania nie jest wcale lekka, wakacyjna literatura, zakładająca wyłączenie krytycznego myślenia, omijanie trosk i poważnych spraw. Na szczęście festiwal idzie w przeciwnym kierunku, czego przykładem może być spotkanie poświęcone książce *Drzazga. Kłamstwa silniejsze niż śmierć*.

Mirosław Tryczyk nie stroni od trudnego, kontrowersyjnego tematu, jakim jest udział Polaków w pogromach Żydów na Podlasiu i dzisiejsza postawa potomków ich sprawców. Jego zaangażowanie w tę sprawę jest o tyle szczególnie, że we wspomnianych wydarzeniach brał udział także jego dziadek. Filozoficzne wykształcenie Tryczyka i jego osobisty stosunek do tematu sprawiają, że *Drzazga* wykracza poza opowieść o niepamięci, braku wstydu czy – najogólniej – o złu, jakie się wtedy dokonało i trwa do dziś.



fot. Bogna Kociumbas

Rzecz o niebezpieczeństwie

Punktem wyjścia dla Tryczyka jest tytułowa drzazga, czyli przemilczana historia rodzinna. Taką drzazgę „winy, wstydu i poharńbienia” noszą w sobie bohaterowie re-портаżu „urodzeni po wojnie tam, gdzie z rąk polskich sąsiadów ginęli Żydzi”. *Drzazga* to także rzecz o lojalności: jego rozmowy z matką spinające książkę swoistą klamrą to przejmujące dialogi o powielaniu schematów (jak np. „Żydzi oznaczają niebezpieczeństwo”), utrzymywaniu się nieuzasadnionych zatargów, wypieraniu niewygodnych faktów. Tryczyk nie daje przyzwolenia na tę powszechnie obowiązującą narrację oraz na brak refleksji w życiu po Zagładzie.

Jak przełamać dyskurs

Autor zastanawia się nad źródłami zapomnienia – zajmuje się wstydem, który zdaje się być dziedziczny. Ludzie chcą zapomnieć, bo to dużo łatwiejsze niż przyznanie się do winy i zrozumienie przeszłości miejsca, w którym przyszło im żyć. Powszechnie jest także przekonanie, że nie godzi się mówić źle o Polakach. Że nie należy walczyć o prawdę, lecz o dobre imię ojczyzny. Jest w Tryczyku niezgoda na taki stan rzeczy. O prawdzie, nawet tej najbardziej bolesnej, trzeba mówić głośno.

Opisywane przez Tryczyka ciągnące się procesy będące wynikiem próby ucieczki od odpowiedzialności, lokalne autorytety wykorzystywane do szerzenia antysemityzmu przed i po wojnie, uznawanie żydowskich świadków dramatycznych wydarzeń za nieautentycznych – wszystko to prowadzi do ponurej konstatacji: drzazga jest nie do usunięcia. Czy takiemu stanowi rzeczy można się przeciwstawić? Lektura książek Tryczyka może być dobrym ku temu przyczynkiem.

Nie chciałbym żyć w tamtych czasach

Spotkanie z Michałem P. Garapichem

⇒ [Emilia Sierżputowska](#)

Ujrzelśmy gloryfikowany polski dwór w innym świetle. Zamiast bryczesów i polowań na pierwszy plan wysunęły się poligamia, niesprawiedliwość i wykluczanie. A wszystko to na tle zawitych relacji rodzinnych rodu Garapichów.

– *Kawał naszej kultury stanowią dramaty rodzinne: bliźni Kain i Abel, mitologiczny Zeus i jego potomstwo. Rodzina budzi w nas bardzo pierwotne uczucia* – mówił Garapich podczas spotkania w Sopocie pierwszego dnia festiwalu. Fiksacja na punkcie własnej historii rodzinnej, choć punkt kulminacyjny osiągnęła w trakcie pracy nad wydanymi w zeszłym roku *Dziećmi Kazimierza*, towarzyszyła Garapichowi od co najmniej dwudziestu lat. – *Zasiana została już w dzieciństwie, gdzieś przy rodzinnych stołach, na weselach i pogrzebach, przez podsłuchane anegdoty dorosłych* – wyznał autor.

Polska rodzina

Rozmowa w kameralnym gronie w sopockiej bibliotece skupiała się na zwyczajach polskich ziemian i na tym, jak wyglądało życie w polskim dworze oraz jak funkcjonowało społeczeństwo tamtego czasu. Jeszcze 60-70 lat temu to, co stało w metryce, determinowało całe życie. Legalni potomkowie polskich ziemian byli częścią oficjalnej rodziny z prawem do dziedziczenia. Ci z nieprawego łoża, których rubryka ojcostwa nie była wypełniona rodowym nazwiskiem, nie mieli żadnych praw. Zwyczajowo dostawali trzy morgi ziemi. Poza-matżeńskie związki z niżej postawionymi młodymi kobietami z warstwy chłopów były codziennością. Żony żyły ze świadomością zdrady, istnienia innych domów, innych rodzin. Partnerki nieoficjalne często godziły się na tę relację-transakcję z powodu wszechobecnej biedy. Zmiany w prawie zaczęto wprowadzać dopiero po II wojnie światowej. Politycy z reguły zgadzali się w kwestii równouprawnienia dzieci z prawego i nieprawego łoża, ale już sprawa sprawiedliwego dziedziczenia wywołała sprzeciw ze strony bardziej konserwatywnych ugrupowań, które uważały to za zamach na instytucję małżeństwa.

Uśmiercanie

Aby odkryć dzieje swego rodu, Garapich uczył się genealogii i czytania metryk. Drugim filarem jego książki były pamiętniki rodzinne. Wielu członków ziemiaństwa w ten sposób próbowało utrwalić i zatrzymać to, co utracili. Jednak autora najbardziej pociągały rzeczy

w pamiętnikach przemilczane. – *Widzę paralelę między śmiercią a milczeniem* – mówił. Autor przyznał jednak, że *Dzieci Kazimierza* zawierają dużo spekulacji. Garapich nie miał dostępu do emocji swoich przodków, jedynie wyobrażał sobie, jaką wewnętrzną walkę i dyskomfort musiała budzić niemożność nazwania „lewaka” bratem czy siostrą. Tym bardziej, że liczni potomkowie jego pradziada Kazimierza żyli blisko siebie, w jednej wsi, która obecnie znajduje się w granicach Ukrainy.

Potomek szlachciura

Publiczność była ciekawa, jak Garapich czuje się jako potomek wielkiego, polskiego rodu. Wyznał, że jest to tylko jedna z jego tożsamości, jest też ojcem, ma swoją pracę. – *Cieszę się, że nie urodziłem się 100 lat temu* – dodał. Jego poszukiwania uzmystowiły mu, że mamy niewystarczająco rozpoznaną grupę społeczną, czyli właśnie potomków z nieprawego łoża, których relacje z rodziną często naznaczone były eksploatacją. Podobnie za rzadko mówimy o pańszczyźnie w polskiej kulturze. Emocje, choć filtrowane przez indywidualne doświadczenie, są dziedziczone. Milczenie również. Pisząc *Dzieci Kazimierza*, autor chciał odebrać prawo decydowania o tym, kto może być bratem.

fot. Bogna Kociumbas



Kobieta z marmuru

Spotkanie z Dorotą Karaś i Markiem Sterlingowem

⇒ [Klaudia Czaboryk](#)

Kochana przez jednych i nienawidzona przez innych. Od zawsze porównywana z Wałęsą, którego zacięcie krytykowała. Jedna z osób, którym zawdzięczamy utworzenie Solidarności i początek nowej historii. Mowa oczywiście o Annie Walentynowicz, kobiecie wzbudzającej wachlarz emocji.

W czwartek w Sopocie odbyło się spotkanie Pawła Goźlińskiego z Dorotą Karaś i Markiem Sterlingowem, autorami najnowszej biografii *Walentynowicz. Anna szuka raju*. W czasie zaledwie godzinnego spotkania poruszono wiele interesujących kwestii, padło wiele dobrych pytań i jeszcze więcej trafnych odpowiedzi.

Proces twórczy

Walentynowicz. Anna szuka raju jest wynikiem wspól-pracy dwójki dziennikarzy, którzy zgodnie twierdzą, że gdyby mieli napisać to samo w pojedynkę, wyszłoby gorzej, gdyż oboje idealnie się uzupełniali i dzięki temu, że mają zupełnie inne metody pracy, stworzyli coś na wskroś autentycznego. Zależało im na przedstawieniu prawdy. Gdy nie byli czegoś całkowicie pewni, to zaznaczali, że mają co do tego wątpliwości. Krytycznie analizowali wartość teczek, które czytali. Weryfikowali wszystko na różne sposoby: rozmawiali ze świadkami, szukali innych stron tej samej historii. To oni piszą, że Walentynowicz tak naprawdę urodziła się w ukraińskiej rodzinie, i to oni poznają historię jej ukraińskiego pochodzenia od żyjących tam wciąż Krewnych. Co więcej, trzy kasety z czterogodzinnymi rozmowami o życiu Walentynowicz, które otrzymali od dziennikarki Janiny Jankowskiej, pozwoliły im odkryć nieznane dotąd aspekty życia działaczki Solidarności. Dzięki temu czytelnicy otrzymują szansę na

zapoznanie się z historią i możliwość wyrobienia sobie opinii na jej temat.

Pochodzenie

Anna Walentynowicz nie przyznawała się do swojego ukraińskiego pochodzenia. Stworzyła sobie nową tożsamość i długo się jej trzymała. Prawda wyszła na jaw po latach. Wielu zarzuciło jej wtedy zakłamanie i zaczęło podważać jej rolę. Rzeczywiście czasami Walentynowicz miała się z prawdą. Podczas spotkania jednak Marek Sterlingow zwrócił uwagę na pewną ważną rzecz, a mianowicie stwierdził, że ukrywanie swojego pochodzenia przez Walentynowicz świadczy bardziej o nas, jej sąsiadach i społeczeństwie, w którym żyła, niż o niej samej. Bała się przyznać, bo bała się reakcji ludzi. Co ciekawe, Sterlingow stwierdził również, że jest to jednak „idealny figiel” dający do myślenia – bohaterka walki o wolną Polskę ma ukraińskie pochodzenie. I polski nacjonalizm musi sobie z tym radzić.

Sierpień

Choć książka Karaś i Sterlingowa jest biografią, to jak sami przyznają, najważniejsze było dla nich ukazanie historii sierpnia 1980 roku. Chcieli pokazać mechanizm tworzenia się i działania ruchu społecznego, który tak znacząco wpłynął na losy Kraju. Opisać, jak planowany był wybuch strajku i co się działo dzień po dniu. Zależało im na zwróceniu uwagi na historię, która ich zdaniem jest obecnie coraz mniej doceniana i rozumiana. Wydarzenie, które powinno nas łączyć, napawać dumą i o którym powinniśmy być w stanie mówić innym, tak naprawdę dzieli społeczeństwo. A przecież postać Walentynowicz może łączyć. Autorka przyznała, że była zaskoczona, gdy w czasie przygotowań i podróży po Ukrainie usłyszała od mieszkańców, że chcieliby, aby Walentynowicz była bohaterką nie tylko polską, ale także ukraińską.

Czemu nie Anna?

Spotkanie zaczęło się od mocnego i trudnego pytania – dlaczego Walentynowicz nie mogła być Wałęsą? To był jednak jego czas, nie każdy mógł go zastąpić. I choć prawdą jest, że w tamtym czasie mężczyźni sprowadzali rolę kobiet do robienia kanapek, całkowicie ignorując ich ogromny wkład w sprawę, to Walentynowicz nie mogłaby być twarzą strajku. Po prostu. Jak stwierdził Sterlingow, płeć nie miała znaczenia, chodziło o charakter. Mimo to Karaś zauważyła, że sama Alina Bieńkowska, która również czynnie uczestniczyła w wydarzeniach sierpniowych, powiedziała kiedyś, że kobiety robiły to, co musiały, żeby mężczyźni mieli czas na „wielkie i mądre rzeczy”.

(Nie)zwykła

Z jednej strony życiorys Walentynowicz jest typowy dla jej generacji. Ówczesny system i ustrój pozwalały bowiem znaleźć zatrudnienie i w pewien sposób się rozwijać. Walentynowicz wykorzystwała możliwości, jakie dawały tamte czasy. Co więc sprawiło, że przeszła do historii? To, że w pewnym momencie poszła pod prąd. Była kobietą silną, zdecydowaną i gotową walczyć o swoje. Jej siłą jest godna podziwu. Nie jest jednak postacią jednowymiarową, taką, która może być scharakteryzowana w dwóch zdaniach. Dlatego najlepiej samemu sięgnąć po książkę Karaś i Sterlingowa, by zgłębić historię Walentynowicz i sierpnia 1980 roku.

Romantyzowanie przyrody jest pułapką

Spotkanie z Urszulą Zajączkowską

⇒ [Dominika Prais](#)

Gdyby ludzie naprawdę wiedzieli, co się dzieje w przyrodzie, świat wyglądałby zupełnie inaczej – przekonuje Urszula Zajączkowska, poetka, botaniczka i artystka wizualna, która w sobotnie popołudnie była gością Michała Nogasia w ramach cyklu *Nogaś na plaży*.

Jej zbiór esejów *Patyki i badyle* ma szansę tę świadomość przyrodniczą zwiększyć, gdyż, jak zauważa Michał Nogaś na samym początku spotkania, *książka rewolucjonizuje myślenie o świecie natury*.

Przyroda nie ma w sobie nic romantycznego
Dziennikarz rozpoczyna jednak rozmowę od nawiązania do sytuacji związanej z epidemią koronawirusa i pytania o pierwszą myśl po jej nastaniu. – *Wiedziałam, że zdarzyło się coś, co musiało nastąpić. Nie spodziewałam się natomiast, że sytuacja przyjmie taki charakter i wywoła tak duży lęk* – przyznaje Zajączkowska.

Zapytana o symptomy nadciągającej epidemii, mówi o ludzkiej pysze, która daje złudne wrażenie kontrolowania świata innych istot nieożywionych. – *Systemy złożone trudno zrozumieć, a kontrola nad nimi jest niemożliwa. Poprzez epidemię świat przyrody pokazał nam, że nad nim nie panujemy. Chociaż koronawirus i tak jest niczym wobec tego, co się może dziać* – wieszczy poetka.

Tym, co dzieje się już teraz, jest choćby zmiana zachowania roślin w naszej strefie geograficznej. Pokazuje nam, że rośliny wcale nie są, cytując autorkę, „tak romantycznie nastawione do rzeczywistości, jak

byśmy tego chcieli”. – *Od zawsze uczymy się, że rośliny są dla nas dobre i czerpiemy z nich korzyści. Tymczasem okazuje się, że w momencie, kiedy na świecie jest zbyt dużo dwutlenku węgla, znacznie przyczyniają się do zmian klimatycznych. Po prostu najadają się CO2. To sprawia, że częściej zamykają swoje ciała, a co za tym idzie, nie chłodzą atmosfery, bo woda uwalnia się z nich tylko w chwili otwarcia aparatów szparkowych przygotowanych na pochłonięcie dwutlenku węgla. Wpływ samych roślin na ocieplenie klimatu jest zatem ogromny* – wyjaśnia Zajączkowska.

Jej zdaniem zmiany zachodzące w przyrodzie nie wieszczą szybkiego końca człowieka, choć populacja ludzi na świecie pewnie się zmniejszy. Nie powinniśmy jednak z tego powodu zapominać, że należymy do gatunków zagrożonych wyginięciem. – *Człowiek wymaga teraz troski, tymczasem nic takiego się nie dzieje* – stwierdza autorka.

Przyroda opiera się na przemocy
Wciąż dominujące jest natomiast, jak zauważa Michał Nogaś, myślenie o człowieku jako o stworzeniu, któremu Bóg oddał ziemię we władanie. – *Gdybyśmy naprawdę wierzyli w to, jak pięknym gatunkiem jest homo sapiens i jak pięknie się on przyrodzie udał, to zdanie dotyczące posiadania ziemi, należałoby raczej odczytywać jako polecenie do skierowania całego swojego intelektu na to, żeby tej ziemi nie krzywdzić* – mówi Zajączkowska i zauważa, że w relacji człowieka i przyrody nie ma prawdziwej miłości.

Jednocześnie podkreśla, że funkcjonowanie całego świata natury zasadza się na przemocy, a jego romantyzowanie jest pułapką myślową. – *Wszystko opiera się na śmierci i na przemianach. Zawsze musi zginąć ktoś, abyśmy my mogli żyć* – przekonuje. – *Na co dzień jemy chleb, a to przecież zmielone miliony zarodków, ziaren pszenicy. Niektórzy piją również smoothie, których przygotowanie sprowadza się do miksowania żywych*

ciał. To nie oznacza, że trzeba teraz nad tym płakać, ale wiedzieć, w jakim misterium świata opartym na śmierci ludzie żyją. Uświadomienie sobie tego rodzi ogromną wdzięczność.

Praca badaczki
Zainteresowanie Zajączkowskiej przyrodą zaczęło się już we wczesnym dzieciństwie. – *Zawsze byłam dzikim dzieckiem. Chowatał się w krzaczorach, siedziałam na drzewach. Myślałam, że wrosło we mnie wtedy przekonanie, że natura i człowiek są jednością. Później pojawił się jasno sprecyzowany plan na życie: mieszkać w leśniczówce i czytać książki, a wraz z nim decyzja o studiowaniu leśnictwa. Projekt runął w gruzach po pierwszym roku studiów. – Wtedy zaczęłam zajmować się nauką i pisaniem wierszy* – mówi.

Dzisiaj, jako botaniczka, spędza godziny przed mikroskopem, zadając sobie pytania na przykład o to, skąd w przyrodzie pęd do ciągłego stwarzania życia lepszym, doskonalszym, sprawniejszym. – *Wiem, że nie znajdę na to odpowiedzi. Pytanie brzmi: na ile będę miała siły taplać się w tym mroku, gubić się, wciąż mieć radość w patrzeniu, a jednocześnie doświadczać wielkiej przestrzeni niezrozumienia i niedostępności w zetknięciu ze światem przyrody*.

Pasji i zachwytu póki co jej nie brakuje. Słyszymy je w jej głosie choćby wtedy, gdy opowiada o podpatrywaniu roślin przez mikroskop. – *W środku łodygi wyglądają jak rozety katedr średniowiecznych. Każda roślina, w przeciwieństwie do zwierząt czy nawet ludzi, wygląda inaczej* – opowiada. Jakie myśli przychodzą jej wtedy do głowy? – *Myślę, jakim jestem cholernie szczęśliwym człowiekiem, skoro mogę zobaczyć ten zaledwie okrucieństwa lasu i próbować zapaść się w nieskończoności całego stworzenia świata*.

fot. Bogna Kociumbas



Problem, którego nikt nie traktuje poważnie

Spotkanie z Olgą Gitkiewicz

⇒ [Magdalena Bojanowska](#)

W piątek na sopockiej plaży Michał Nogaś rozmawiał z Olgą Gitkiewicz, autorką książki *Nie zdążę, która podejmuje temat wykluczenia komunikacyjnego Polaków. Dziennikarka opowiedziała o tym, dlaczego w XXI wieku w środku Europy wciąż istnieje ten problem i jak on się objawia. Zdradziła również, nad jakim tematem obecnie pracuje*.

Reporterkę zaczęła od anegdoty związanej z jej przyjazdem na festiwal. Jadąc z Żyrardowa do Warszawy, musiała się przesiąść na pociąg do Sopotu. Na przesiadkę miała mieć 35 minut, jednak przez zepsuty schodek pociąg stał pół godziny w polu. – *Pociąg w Warszawie na mnie poczekał. Konduktor Kolei Mazowieckich, któremu zgłosiłam, że mam przesiadkę i to bardzo ważne, że muszę jechać, powiedział: Pani jest grzeczna, nie to, co inni pasażerowie, to spróbujemy to załatwić* – opowiedziała Gitkiewicz i dodała, że nie wie, dlaczego została uznana za grzeczną, bo rzuciła torbę, na co Nogaś dodał, że strach pytać, w jakiej skali się mierzy grzeczność pasażerów.

Problem, który dotyka już dzieci
Olga Gitkiewicz opowiedziała, co sprawiło, że postanowiła zająć się tematem wykluczenia komunikacyjnego. Wpływ na jej decyzję miały doświadczenia własne i znajomych, ale także badania specjalisty ds. transportu Michała Wolańskiego, z których wynika, że 30% dzieci po podstawówce wybiera dalsze szkoły nie ze względu na swoje kompetencje, zainteresowania czy marzenia, tylko w oparciu o możliwość dojazdu. – *Pomyślałam sobie, że to się bardzo wcześniej zaczyna. Ci dorośli, którzy piszą posty na Facebooku* [i opisują problemy z transportem



fot. Bogna Kociumbas

– przyp. red.], to jest już kolejny schodek, a to podcina nie możliwości życiowych w zależności od dostępności komunikacyjnych zaczyna się bardzo wcześniej. Właściwie już kilkulatki cierpią, że się nie mogą gdzieś dostać – powiedziała reporterka i dodała, że dla mieszkańców średnich i dużych miast jest to abstrakcja.

Pusty zapis
Autorka *Nie zdążę* mówiła także o tym, dlaczego ten problem istnieje w naszym kraju. – *Transportu publicznego w Polsce nikt nie traktuje poważnie. Nikt nie traktuje go systemowo. W rozmaitych ustawach jest zapisane, że transport publiczny jest usługą publiczną i obowiązkiem samorządów na różnych szczeblach, ale tak naprawdę wszyscy traktują to jak pusty zapis* – wyjaśniła Gitkiewicz. Z jej rozmów z władzami miast, powiatów czy gmin wynikało, że mieszkańcy nie chcą korzystać z tej komunikacji na tyle często, żeby transport się opłacał. I to jest wątek, jak podkreślała reporterka, który bardzo często się pojawia przy okazji rozmów o tym problemie.

Chwila zwątpienia
Żeby napisać książkę, Gitkiewicz sprzedała samochód i zaczęła korzystać z transportu publicznego. Michał Nogaś zapytał ją o to, po jakim czasie miała już dość tej sytuacji. – *Szybko. Auto sprzedałam w marcu, a we wrześniu siedziałam na przystanku i myślałam, że nie wydam się stąd, nic nie napiszę, z nikim nie porozmawiam* – powiedziała. To był przystanek w Hoczwi w Bieszczadach. Wówczas Gitkiewicz pojechała do Leska i postanowiła odwiedzić miejscowości oddalone o 15-30 km. Okazało się jednak, że część z rozmówców musiała po nią przyjeżdżać samochodami, bo nie było transportu. Autobusem udało jej się dojechać do Cisnej, ale już za godzinę miała kurs powrotny. – *Co w godzinę może zobaczyć reporterka w jakiegokolwiek miejscowości? Nic* – podkreśliła. Dodała, że wtedy miała wątpliwości, czy cokolwiek uda jej się napisać.

Na koniec Gitkiewicz zdradziła, że pracuje obecnie nad biografią reporterską o trzech kobietach, które miały to samo nazwisko. Chodzi o Halinę Krahelską, „legendarną inspektorkę pracy”, Wandę Krahelską, która razem z Zofią Kossak-Szczucką zakładała Żegotę, i Krystynę Krahelską, poetkę, która pozowała do pomnika Syreny w Warszawie.

Cmentarz to księga do czytania

Spotkanie z Małgorzatą Żerwe

⇒ [Magdalena Bojanowska](#)

Mogłoby się wydawać, że tegoroczny Literacki Sopot rozpoczął się nieco mrocznie, bowiem tematem jednego z pierwszych spotkań były... cmentarze. Jednak nic bardziej mylnego. Małgorzata Żerwe, autorka książki *Życie grobowe, barwnie opowiedziała o nekropoliach, które odwiedziła. Spotkanie poprowadziła Joanna Cichocka-Gula, dyrektorka sopockiego festiwalu*.

Spotkanie rozpoczęło się od przytoczenia przez prowadzącą napisu z pewnego nagrobka, który znajduje się na lubelskim cmentarzu: „Serce twoje w dłoniach miałem. Serce twoje całowałem. Niech ci lekką będzie ziemia. Pa, Kochanie, do widzenia”. Z cytatem tym, jak podkreśliła autorka książki *Życie grobowe*, wiąże się pewna legenda miejska. – *Chirurg owdowiał i wyjął serce z ukochanego ciała swojej małżonki. Potem to epitafrum powstało* – wyjaśniła Żerwe. Dziennikarka podkreśliła, że „cmentarz jest księgą do czytania”.

Pamięć i niepamięć
Prowadząca spotkanie rozmawiała z gością festiwalu o tym, jak nagrobki i pomniki z jednej strony upamiętniają zasłużonych ludzi, a jednocześnie czasami pamięć o kimś, kto był ważną postacią, kiedy żył, po jego śmierci zanika. – *Bardzo rzadko zdarza się, że pielgrzymują do jakiegokolwiek grobu czy cmentarza. Po prostu spotykam cmentarz po drodze albo jestem zaprowadzana do niego* – zaznaczyła autorka książki. Jak dodała, w taki właśnie sposób trafiła na grób Camille Claudel. Żerwe wyjechała kilkanaście kilometrów z Avinion i dotarła do Montfavet, gdzie francuska rzeźbiarka zmarła. Nagrobek upamiętniający artystkę postawiono dopiero wiele lat po jej śmierci.

Miłość i ekonomia
Żerwe opowiedziała również o cmentarzu dla zwierząt w Hartsdale, który jest najstarszą i największą nekropolią tego typu w Stanach Zjednoczonych. – *Już wychodząc z tego uroczego cmentarza – Kocham zwierzęta i uważam, że mają prawo spoczywać w takich miejscach, które mogą być odwiedzane przez stęsknionych za nimi właścicieli – nagle zobaczyłam podwójny grób, który różnił się nieco od innych. Był to grób z różowego marmuru, miał dwie identyczne stele i z jednej strony był napis, że pochowano tu suczkę, a z drugiej – jej właściciela* – opowiedziała autorka *Życia grobowego*. Dodała, że dla niej było to romantyczne, że mężczyzna kazał się pochować ⇒

ze swoim ukochanym psem na cmentarzu zwierzęcym. Później dowiedziała się, że miejsce na takiej nekropolii jest dużo tańsze niż na tej przeznaczonej dla ludzi. – *I przewrotnie sobie pomyślałam, że miłość miłością, ale może tu ekonomia wkroczyła – zaznaczyła dziennikarka, ale po chwili dodała, że wciąż wierzy w to, że jednak zwyciężyła miłość, a nie względy finansowe.*

Świadectwo i współtistnienie

Autorka wspomniała również o cmentarzach, na których chowani są ludzie różnych wyznań – takie nekropolie znajdują się między innymi w Lublinie czy Helsinkach. Podkreśliła, że miejsca pamięci czy też niepamięci znajdziemy wszędzie, bo wszędzie chowa się ludzi. – *To jest właśnie historia czytania cmentarza, czyli czas, kiedy współtistnieliśmy. To jest świadectwo tego momentu w historii Polski, kiedy potrafiliśmy współtistnieć, i to dotyczy wszystkich społeczności, które są tam na cmentarzu. Ci ludzie byli obok siebie i paradoks polega na tym, że im się to udawało – stwierdziła Joanna Cichocka-Gula i dodała, że to lekcja dla nas, że tak można. Na koniec autorka Życia grobowego podziękowała tłumaczkom na język migowy: Karolinie Bocian i Marcie Jaroń. – *Ja im się kłaniam. Dziewczyny, robicie super robotę – tymi słowami zakończyła spotkanie.**



fot. Bogna Kociumbas

Jak wygląda człowiek w oczach zwierząt

Spotkanie z Andreą Lundgren

⇒ [Aleksandra Suchecka](#)

Literatura jest jedynym sposobem, by dokonać zmian w swoim życiu – stwierdziła Andrea Lundgren podczas niedzielnego spotkania. Fauna Północy pokazuje jednak, że wpływ na zachowanie człowieka może mieć także przyroda, ponieważ – jak przyznała autorka – każdy ma w sobie spektrum fauny.

Podczas ostatniego dnia Literackiego Sopotu mieliśmy okazję spotkać się ze szwedzką pisarką, autorką dwóch powieści i tomu opowiadań, którego premiera towarzyszyła festiwalowi. Polskie wydanie *Fauny Północy* Lundgren jest wyjątkowe, ponieważ każda z sześciu historii tomu została przełożona przez innego tłumacza. Nad całością projektu czuwała Justyna Czechowska – znalkomita tłumaczka literatury szwedzkiej i norweskiej. Niedzielne spotkanie z Lundgren poprowadził Maciej Jakubowiak – eseista, doktor literaturoznawstwa, redaktor „Dwutygodnika”.

Współczesne Metamorfozy

Znaczna część rozmowy z Lundgren była poświęcona tożsamości, a zwłaszcza jej płynności i ulotności. Maciej Jakubowiak zauważył, że każdy z bohaterów opowiadań *Fauny Północy* jest zagubiony we własnej samoświadomości, której musi poszukiwać w przyrodzie, a zwłaszcza w świecie zwierząt. Pisarka przyznała, że indywidualizm jest dla niej czymś najważniejszym, a jej bohaterowie

brodzą w płynnym Koszmarze jaźni, ponieważ poszukiwanie tożsamości jest dla nich tak przerażające, że muszą uciec do pogranicza, najczęściej do lasu. Zapytana o możliwe inspiracje posthumanizmem, transhumanizmem oraz psychoanalizą Lundgren przyznała, że każda z wymienionych teorii jest jej znana, jednak największy wpływ na jej pisarstwo ma miejsce, w którym się urodziła i mieszkała przez większość życia, dom rodzinny oraz sąsiedzkie opowieści.

Realizm Lundgrenowski

Wydawałoby się, że świat przedstawiony w *Faunie Północy* możemy z łatwością wpisać – jak uczyniła większość krytyków – w nurt realizmu magicznego, jednak jak okazało się podczas spotkania, Lundgren nie utożsamia się z tym nurtem: *Czytam wiele baśni i legend i myślę, że to z nimi czuję największe pokrewieństwo.* Na pytanie Macieja Jakubowiaka, dlaczego decyduje się na ucieczkę od realizmu w fantastykę, autorka odpowiedziała, że realistyczne historie są ubogie w ludzkie doświadczenia: *Dzięki magii jestem w stanie opisać to, czego nie umiem powiedzieć. Moja literatura to podwyższona rzeczywistość.*

Spektrum fauny

Pisarka urodziła się na dalekiej północy Szwecji, gdzie, jak przyznała podczas spotkania, do dziś wyjeżdża na wakacje, by móc pisać wśród znanej z dzieciństwa przyrody. – *Zwłaszcza las jest dla mnie symbolem, który muszę przeanalizować, dlatego tak wiele o nim piszę –* przyznała Lundgren. Celem, który jej przyświecał podczas pisania sześciu opowiadań, była chęć zbadania świata ludzi i zwierząt, zwłaszcza w kontekście przemiany i strachu przed śmiercią. Zgodnie z myślą Lundgren każdy człowiek mieści w sobie spektrum fauny, czyli wewnętrzne zwierzę – w przypadku jednej z bohatererek był to pies, w którego przemieniła się symbolicznie. Te wszystkie elementy sprawiają, że czytanie jej prozy wymaga sporego zaangażowania ze strony czytelnika, czego świadoma jest także autorka. – *Czytanie moich książek wymaga trochę napocenia się, nie przypomina zupełnie oglądania telewizji –* podsumowała.



fot. Bogna Kociumbas

Śmieci są wszędzie i nie sposób ich nie widzieć

Spotkanie ze Stanisławem Łubieńskim

⇒ [Julia Kapoła](#)

Natalia Szostak, prowadząca spotkanie, rozpoczęła od niedwuznacznego cytatu z Książki o śmieciach. Wybrała fragment opisujący zanieczyszczenia nad polskim morzem w czasie wakacji, po czym przekornie spytała gości, jak się czuje w Sopocie.

Poważnemu tematowi ekologii towarzyszyły także anegdoty, jak ta o znalezieniu plastikowej kulki w rybie. Od tamtej pory Stanisław Łubieński nie jada już ryb. Był to dla niego swoisty „decydujący moment”, tak jak wtedy, kiedy po raz pierwszy zrozumiał, że śmieci są wszędzie. – *Jak już raz zacznie się je dostrzegać, to potem ciężko ich nie zauważać –* dodał.

Śmieciowa depresja

Łubieński przyznał, że wiele osób uznało jego książkę za depresyjną, choć to nie było jego intencją. Uważa, że wszystko, co robimy w celu ochrony środowiska, jest cenne i nawet jeśli wiele z tych wysiłków może się wydawać bezsensownymi, to warto to robić. Mimo że czasem rzeczywistość może być przytłaczająca. Opowiadając

o akcjach zbierania śmieci w Zakopanem, przyznał, że jest to dosyć karkołomne zajęcie. – *W pewnym momencie musieliśmy się poddać –* relacjonował. Szybko się okazało, że cała polana była wysypiskiem, śmieci pod śmieciami, pokruszone szkło wbite w ziemię. – *Można się było przy tym załamać –* dodał.

Zapytany o protesty klimatyczne i rolę młodzieży w wywieraniu presji na rządy i dorosłych w kwestiach ochrony środowiska, Łubieński przyznał: *Może są w stanie wywrzeć jakiś wpływ na rodziców, ale stąd jeszcze daleka droga do Mateusza Morawieckiego.* Dodał jednak, że w jego odczuciu są to bohaterowie, ponieważ dzieci nie powinny myśleć o przyszłości, tylko cieszyć się życiem, a mimo wszystko wychodzą na ulicę w obronie Ziemi.

Szeroka definicja śmiecia

Opowiadając o treści swojej najnowszej książki, Łubieński stwierdził, że jest nią refleksja nad bezmyślnością naszych działań, krótkowzrocznym pojmowaniem przyrody, a także niemożnością dostrzeżenia dalekosiężnych konsekwencji naszych zachowań. Jako przykład przytoczył historię wizyty w papugarni, która jest jego zdaniem bardzo depresyjnym miejscem, gdzie ptaki cierpią, a jej jedynym celem jest chęć zarobienia na infantylnym podejściu do przyrody.

Na spotkaniu padło też pytanie o to, czy billboardy są śmieciami. Autor odparł, że przy pisaniu książki rozumiał, jak bardzo wąsko definiował śmieci, i że istotnie billboard do nich należy. Generuje tak zwany hałas wizualny, czego na wielką skalę można doświadczyć na przykład odwiedzając Zakopane. – *Tak bardzo do tego przywykliśmy, że dostrzegamy tę anomalię dopiero wtedy, gdy wyjedziemy gdzieś, gdzie nie ma tego typu zjawisk –* dodał. – *W Polsce przeszliśmy przyspieszony kurs kapitalizmu, nie było czasu, aby przemyśleć takie rzeczy, aby te wszystkie zmiany zachodziły harmonijnie.*

Człowiek nie zawsze musi być zagrożeniem

Spotkanie z Adamem Wajrakiem

⇒ [Emilia Sierżputowska](#)

Jeśli nie zrozumiemy, jaką władzę mamy na Ziemi, i nie zaczniemy jej ograniczać, przyroda będzie znikać – przekonuje Adam Wajrak, który o sobie mówi, że jest opowiadaczem i podglądaczem przyrody.

Zapytany o najniebezpieczniejsze zetknięcie ze zwierzęciem, Wajrak z przykrością odpowiedział, że może to być doświadczenie dla publiczności rozczarowujące. W trakcie jednego ze spacerów po Puszczy Białowieskiej do coca-coli, którą niewinnie popijał, wpadła osa. W konsekwencji ze spuchniętym językiem wyładował w najbliższym szpitalu. Jest to jednak historia znamienna, bo dziennikarz przy każdej okazji namawiał do zwracania uwagi na życie zwierząt, które rozgrywa się przed naszymi oczami.

Zobaczyć i docenić

Spotkanie autorskie z Wajrakiem było wyjątkowe, gdyż publiczność nie zachwycała się jedynie literaturą, ale także przyrodą i światem wokół. Patrząc przez ramię z trybun sopockiego Hipodromu, Wajrak na przykład zachwycał się mądrością kawek, które z uwagą obserwują ludzi, aby wykorzystać zostawiane przez nich resztki jedzenia. Dodał, że relacje krukowatych z mewami zapewne mogłyby być tematem rozległej pracy. Opowiadał wiele także na temat chomika europejskiego – gatunku, który występuje ⇒

”
Młode pokolenie, wychowane w wolnej Polsce, jest o wiele bardziej świadome wartości środowiska naturalnego.

w Polsce. Bojowy, szczeka, staje słupka; trochę jak Polak, żartował dziennikarz.

Wartość środowiska

Wajrak opowiadał także o miejscach, gdzie ochrona przyrody powinna być pierwszorzędna. I tak na przykład polskie Tatry odwiedza co roku około 3 milionów ludzi, a mimo to możemy tam ujrzeć niedźwiedzia, świstaka, orła. Jeśli turyści nie dokarmiają i nie zaczepiają zwierząt, to współegzystencja jest możliwa. Choć Tatrzański Park Narodowy wykonał w tym zakresie ogromną pracę, to wiele jest jeszcze do zrobienia. Podmiot publiczny nie powinien samodzielnie odpowiadać za sprzątanie śmieci z terenów przyrody, producenci także powinni ponosić część kosztów. Pomocnym rozwiązaniem byłoby też wprowadzenie kaucji za puszki. Młode pokolenie, wychowane w wolnej Polsce, jest o wiele bardziej świadome wartości środowiska naturalnego. W trakcie wycinki w Puszczy Białowieskiej niezłomnie blokowali harvestery, mimo brutalności straży leśnej. Aktywista przyznał, że podoba mu się ich radykalizm. – *Niedługo sam będę postrzegany jako konserwatysta, bo czasami pozwalam sobie na zjedzenie mięsa. Ale tylko wtedy, kiedy jest mi подарowane, sam nie kupuję mięsa* – zastrzegł.

Uczyć i inspirować

Wajrak jest aktywny w mediach społecznościowych. Stara się być otwarty i docierać do ludzi o różnych poglądach. Sam ze swoimi się nie kryje. Wszystkich postrzega jako obywateli, którzy dzielą się swoimi przekonaniami. – *Jako dziennikarz kształtuję opinie i mogę wpływać na polityków. To, co robię, to jest polityka* – przekonywał.



fot. Bogna Kociumbas

”

To prawda, że prowadzimy życie ponad stan. Jednocześnie jesteśmy coraz bardziej świadomi tego, jak zmieniamy planetę.

Przemijająca postać tego świata Debata o antropocenie

⇒ *Dominika Prais*

Zdaniem naukowców od 70 lat żyjemy w antropocenie. O to, czym charakteryzuje się nowa epoka geologiczna, i co to może dla nas oznaczać, pytał Tomasz Ulanowski.

W 2000 roku uznano, że od około 11 tysięcy lat żyjemy w stosunkowo stabilnych warunkach klimatycznych i w związku z tym ludzka cywilizacja może z nich korzystać, dokonując postępu. W efekcie zmodyfikowaliśmy planetę do tego stopnia, że nie żyjemy już w stabilnym świecie. Pojawił się antropocen, nieznaną jednostką, z którą eksperymentujemy, nie wiedząc, do czego nas doprowadzi – wyjaśnił Colin N. Waters na początku spotkania.

Ślady antropocenu

Uważnym świadkiem wspomnianych przez profesora zmian jest reporterka Ilona Wiśniewska. Najpierw obserwowała je na Spitsbergenie – wyspie zamieszkiwanej przez niewielu ludzi i dużą liczbę dzikich zwierząt. Od kilku lat to miejsce opanowują jednak ogromne rzesze turystów, przepędzając zwierzęta w spokojniejsze tereny. Teraz ślady antropocenu zauważa na dalekiej północy Norwegii. – *Mieszkam w mało zaludnionym rejonie, którego największą wartością był dotąd pusty krajobraz. Niestety w obecnej epoce rządzonej przez ekonomię ta pustka okazała się dużo warta. Zaczęto tam budować ogromne elektrownie wiatrowe. To wywołuje protesty, ponieważ wiatraki mają stanąć na terenach należących do rdzennych mieszkańców Północy Saamów. Norwegia, wydając zgodę na budowę elektrowni, łamie ich prawa i niszczy swoją przyrodę. Która jest jej największym bogactwem i tożsamością* – mówiła Wiśniewska.

Ingerencję człowieka w środowisko naturalne zauważa także urodzona nad Bałtykiem Dorota Maśłowska. – *Doświadczam tego morza od wczesnego*

dzieciństwa i widziałam je w różnych odstonach – przyznała. – *Miejsce, do którego jeżdżę, jeszcze do niedawna było rzadko odwiedzane przez Polaków. Teraz w upiornie przyspieszonym tempie dostrzegam tam coś, co bym nazwała infrastrukturyzacją. Doprowadzany jest prąd, kładziony asfalt i wycinane są stare lipy, w których miejscu gęsto nasadza się rachityczne kikuty. Można sobie tylko wyobrazić, jak złożone bioświaty zostały w ten sposób zrujnowane* – relacjonowała Maśłowska.

Bałtyk znajduje się również w centrum zainteresowania geologów. – *Jest dobrym przykładem zmian, jakie zachodzą w Europie* – stwierdził prof. Waters. – *Jeśli wwiercimy się w jego osady, zobaczymy w większości szarą glinę, ale też powstałą około 1950 roku organiczną warstwę czarnego materiału bogatego w węgiel. Jego pojawienie się ma silny związek z modernizacją rolnictwa i intensywnym używaniem pestycydów od połowy XX wieku* – wyjaśnił profesor.

Zapytany o inne sygnały antropocenu wspomniął o pojawieniu się w ostatnich 70 latach nowych materiałów stworzonych przez człowieka, takich jak plastik, który można znaleźć w niemal każdej części morza. Zwraca również uwagę na spowodowany emisją gazów cieplarnianych wzrost średniej temperatury powietrza od 1°C do nawet 5-6°C na Spitsbergenie. – *W tym roku na Spitsbergenie odnotowano latem 21°C i to nikogo, kto tam mieszka, nie cieszy. Kiedyś mieszkańcy wyspy mogli bowiem wsiąść wiosną w psi zaprzęg i pojechać nim dalej. Teraz to niemożliwe, bo lodu nie było tam od 10 lat* – wtórowała profesorowi Ilona Wiśniewska.

Czy jest jeszcze dla nas nadzieja?

Zdaniem reporterki głównym problemem ludzkości jest niemożność ograniczenia się. Jej opinię podziela Dorota Maśłowska: *Wiele rzeczy robimy, bo nas na to stać, bo możemy, więc musimy. Wyczuwam w tym logikę, która wydaje mi się ekstremalnie niebezpieczna, ponieważ jest nie do podważenia i nie do zatrzymania. Odpowiedzialnością za obecny stan obarcza kapitalizm. – Pożerają nas pieniądze. W moim pojęciu antropocen to moment w historii, kiedy ludzie wyciągnęli ziemię z ziemi i sprzedali ją sobie nawzajem. Odpowiedzialne są za to korporacje, które nie zrezygnują ze swojej arogancji. Uważam, że nie da się zatrzymać tej inercji drobnym umoralnianiem, jakie prowadzimy* – podsumowała pisarka. Jej zdaniem sytuacja wymaga bowiem systemowych zmian, które arogancja tego systemu wyklucza. Wymaga również zmian od nas. – *Sama widzę, jak trudno jest wycofać się z przywilejów i przyzwyczajęń, zmienić myślenie stymulowane wpajaniem od lat pożądaniem konsumpcji* – przyznała.

Pesymizm autorek studził nieco Colin N. Waters. – *To prawda, że prowadzimy życie ponad stan. Jednocześnie jesteśmy coraz bardziej świadomi tego, jak zmieniamy planetę. Szczególnie młodsze pokolenia zdadzą sobie sprawę, że sposób, w jaki żyjemy, będzie musiał się zmienić. Profesor nie ma przy tym wątpliwości, że ludzie są gatunkiem inteligentnym i zdolnym do wprowadzenia pozytywnych zmian. Spoczywa na nas ogromna odpowiedzialność za przyszłość planety, a przede wszystkim nas samych, bo o ile Ziemia z pewnością się odrodzi, to my, jako gatunek, mamy ograniczony czas na niej. – Jeśli popełnimy błąd, ten czas będzie dla nas bardzo krótki* – stwierdził prof. Waters.



fot. Bogna Kociumbas

Jak przerobić powieść na komiks? Spotkanie z Danielem Chmielewskim i Rafałem Mikołajczykiem

⇒ *Paulina Frankiewicz*

Mimo że komiks zagościł na stałe w kalendarzu wydarzeń sopockiego festiwalu, wciąż towarzyszy mu obiegowa łatka bękarta Kultury. Czegoś, co do literatury nie dorasta. Z drugiej strony rośnie rzesza fanów tego gatunku, a na polskim rynku ukazuje się coraz więcej komiksów. Chmielewski i Mikołajczyk opowiadali o szczególnym rodzaju komiksowej sztuki: o powieściowych adaptacjach.

Nie ulega wątpliwości, że adaptacja jest wyjątkowym rodzajem komiksu. Powstałe dzieło nieuchronnie wchodzi w dialog z pierwowzorem. Od komiksiarza zależy, na jakich płaszczyznach te utwory będą korespondować.

Strategie artystyczne

W przypadku komiksu *Ja, Nina Szubur* Chmielewskiego mamy do czynienia z absolutnie autorską interpretacją

powieści Olgi Tokarczuk *Anna In w grobowcach świata*. Autor na nowo wykreował postaci, nierzadko zmieniając ich role w opowiadanej historii, umieścił je w nowych lokalizacjach, dodał kolejne wątki. Mikołajczyk natomiast przyjął inną strategię podczas pracy nad komiksem opowiadającym na nowo *Niezwykłego Stanisława Lema*. Z szacunku dla mistrza i uznania dla powieści będącej właściwie gotowym scenariuszem, niewiele w niej zmienił. Komiks zachował tytuł, a historia rozgrywająca się w kadrach została zwizualizowana w zgodzie z literą oryginału. Nie umniejsza to w żadnym stopniu pracy Mikołajczyka, bowiem każdy, kto zna twórczość Lema, wie, że zarówno na poziomie fabuły, jak i dialogów, czytelnika czeka jazda bez trzymanki.

Od scenariusza do eksperymentu

Prowadzącej Karolinie Sulej udało się namówić rozmówców na zwierzenia o swoim warsztacie. Okazało się, że u każdego z autorów proces twórczy wygląda inaczej, na różne sposoby oceniają również atrakcyjność kolejnych etapów tworzenia komiksu. Dla przykładu: Chmielewski, siadając do rysowania komiksu, ma gotowy drobiazgowy scenariusz, samo rysowanie jest więc dla niego procesem najbardziej wtórnym, żmudnym i nudnym. Mikołajczyk natomiast przyznał, że etap rysowania jest dla niego tym najbardziej wyciekającym, kiedy może dać upust swojej wyobraźni i eksperymentować.

Tym, co łączy Chmielewskiego i Mikołajczyka, jest odwaga w zmierzeniu się z powieściami uznanych twórców. Adaptacja literackich gigantów – Tokarczuk i Lema – którzy mają gorliwych fanów w Polsce i na świecie, jest niebagatelnym wyzwaniem. Jak świetnie, że komiksiarze zdecydowali się je podjąć.

Kultura jest zwierciadłem świata Debata poświęcona relacji gier i literatury

⇒ *Aleksandra Suchecka*

W 2020 roku rynek gier osiągnął wartość 160 miliardów dolarów, a najnowsze badania pokazują, że aż 2,7 miliarda populacji to gracze. Czy te liczby mogą zwiastować nieuchronny koniec literatury?

Podczas trzeciego dnia Literackiego Sopotu miłośnicy książek mieli okazję wziąć udział w debacie, której celem była odpowiedź na pytanie o to, co można wyczytać z gier wideo.

Czy autor scenariusza gier jest pisarzem?

Podczas kanadyjskiej edycji Literackiego Sopotu nie mogło zabraknąć debaty poświęconej grom, ponieważ Kanada jest trzecim największym producentem gier na świecie – zaraz po Japonii i Stanach Zjednoczonych. Dyskusja dotyczyła przede wszystkim niecodziennego doświadczenia, które spotkało każdego z obecnych, czyli konieczności pisania literatury przeznaczonej dla nowego medium. Na pytanie prowadzącego, czy istnieje znaczna różnica między pisanem książek i scenariuszy gier, ⇒

Każdy z obecnych zgodnie stwierdził, że tym, co traci się przy pisaniu linii tekstowej, jest przede wszystkim indywidualność i samotność. – *Musiłam wyzbyć się pisarskiego ego, ponieważ każdy napisany przeze mnie fragment był od razu poddawany ocenie* – stwierdziła Karolina Sulej. Paneliści nie byli zgodni co do kwestii, czy twórczość zespołowa pozwala pisarzowi na więcej, czy raczej go ogranicza. Sean Michaels określił siebie jako „staroświeckiego pisarza”, dlatego stwierdził, że najlepsze historie są oparte na zindywidualizowanych przeżyciach, przeciwnie do Miriam Verburg, która zauważyła, że to właśnie połączenie różnych doświadczeń i poglądów pisarzy pozwala na wykreowanie niesamowitej historii.

Ile literatury mieści się w grach?

Jedno z pytań Bartek Chaciński skierował bezpośrednio do Marcina Blachy i dotyczyło ono długości tekstu zawartego w grach z rozbudowanym światem, takich jak *Wiedźmin 3: Dziki Gon* lub *Cyberpunk 2077*. Scenarzystka studia CD Projekt RED, aby zobrazować obecnym rozmach narracyjny produkcji, przyrównał ich objętość do klasyki literatury. – *W Wiedźminie 3 napisaliśmy Władcę Pierścieni, natomiast Cyberpunk 2077 osiągnął na razie linię tekstową zbliżoną do Przemięto z wiatrem, a powoli zbliżamy się do Wojny i pokoju* – odpowiedział Blacha. Kolejnym ważnym wątkiem spotkania był edukacyjny i terapeutyczny potencjał gier. Jeden z internautów zadał pytanie, czy wprowadzenie gry *The War Is Mine* (11 bit studios, 2014) do szkół jako lektury nieobowiązkowej jest przełomowe, na które każdy z obecnych odpowiedział twierdząco. – *Należy pamiętać, że kultura, a zatem także gry, jest zwierciadłem świata, w którym młodzi ludzie mogą się przeglądać, co może im pomóc w poznawaniu samych siebie* – podsumował Marcin Blacha. W dyskusji wzięli udział: Karolina Sulej, Miriam Verburg, Marcin Blacha i Sean Michaels. Spotkanie prowadził Bartek Chaciński.

fot. Bogna Kociumbas



Jak dobrze tłumaczyć? Debata o nowych tłumaczeniach arcydzieł

⇒ [Klaudia Czaboryk](#)

Jak przetłumaczyć słowa nieprzetłumaczalne i czy tłumacz może narzucać czytelnikowi swoją interpretację? Praca tłumacza jest wymagająca, czasochłonna, ale też satysfakcjonująca. Warto przyjrzeć się z bliska wyzwaniom, z którymi twórcy przekładów mierzą się na co dzień.

W czwartkowe popołudnie w Państwowej Galerii Sztuki odbyła się pasjonująca debata *Klasyka: Reaktywacja. Czy arcydzieła literatury potrzebują świeżych tłumaczeń?*. Spotkanie poprowadziła Dagny Kurdwanowska, a jej gośćmi byli Wojciech Charchalis, Jakub Ekier i Anna Wasilewska – wybitni tłumacze, którzy podziellili się z uczestnikami swoimi spostrzeżeniami oraz pokazali, w jak wiele pułapek można wpaść w trakcie tłumaczenia.

Rękopis znaleziony w Saragossie

Jedna z powieści mocno zakorzenionych w polskim czytelnictwie, zekranizowana przez Wojciecha Jerzego Hasa i uwielbiana przez tysiące, dostępna była przez lata jedynie w przekładzie Edmunda Chojeckiego z 1847 roku. Problem w tym, że była to wersja spreparowana. Dwaj francuscy badacze literatury i biografowie Jana Potockiego, François Rosset i Dominique Triaire, odkryli ostatnią i autorską wersję *Rękopisu znalezionego w Saragossie* z 1810 roku. Dla polskich czytelników z francuskiego przełożyła ją Anna Wasilewska, która na spotkaniu zauważyła,

że nawet obecnie wielu Polaków nie wie, że *Rękopis...* nie był w oryginale napisany po polsku. Wasilewska wskazuje na rozbieżności, które są widoczne dopiero po zestawieniu starych tłumaczeń z oryginałem, choćby różnice w ówczesnym osiemnastowiecznym piśmienictwie francuskim i polskim – język francuski operował wtedy rozbudowanym językiem filozoficznym, przez co ciężko było wówczas znaleźć adekwatne odpowiedniki w języku polskim.

Don Kichot

Wojciech Charchalis, autor najnowszego przekładu dzieła Miguela de Cervantesa, już na samym początku stwierdził, że często zarzuca mu się, że za dużo opowiada dobrze o sobie, a źle o innych tłumaczach. Ale, jak wyjaśnił, są ku temu powody. Jednym z nich jest chociażby to, że początkowo dwa razy *Don Kichot* tłumaczony był na polski z wersji francuskich, nie hiszpańskich, co sprawiło, że istniały znaczne różnice w treści. Co więcej, wcześniejsze przekłady, zdaniem Wojciecha Charchalisa, nie oddawały tego, że utwór Cervantesa jest powieścią polifoniczną i to musi wybrzmiewać w języku. Tłumacz zauważył również, że jego poprzednicy często nie mieli takich możliwości i pomocy naukowych, jakie mają współcześni tłumacze. On sam tłumaczył wersję z przypisami 150 badaczy twórczości Cervantesa, co było bardzo pomocne. Co ciekawe, Wojciech Charchalis zerwał z pewną niepiśaną tradycją nietłumaczenia nazw własnych i w jego przekładzie znajdujemy na przykład Sanczo Brzuchacza zamiast Sanczo Pansy i Cudenię zamiast Dulcynei.

Proces

Istnieje mnóstwo interpretacji jednej z najważniejszych książek europejskiej literatury, czyli *Procesu* Franza Kafki – niektórzy uważają, że to opis wizji autora, inni widzą w niej analizę filozoficzną czy religijną, a jeszcze inni metaforę totalizmu. Zdaniem Jakuba Ekiera jest to powieść, która może być odczytywana na wiele sposobów. Zadaniem tłumacza jest przełożyć utwór tak, aby nie nakierowywać na konkretny sposób zrozumienia tekstu, tylko otworzyć jak najwięcej furtek i dać czytelnikom wybór. Jako przykład postawił fragment, w którym w niemiecKim oryginale w tekście występuje forma bezosobowa, a w tłumaczeniu pojawia się podmiot „władze”, co prowadzi do konotacji z biurokracją czy dyktaturą. Tłumacz pokazuje też, że mylne jest kojarzenie opisywanej historii z totalizmem. W powieści występuje wiele sytuacji pokazujących, że Józef K. posiada specyficzną relację z Sądem, w pewien sposób go przyciąga. Nie można więc łączyć tego z aresztowaniem i skazywaniem niewinnych ludzi w socjalistycznej Rosji. U Kafki sprawczość jest zgoła inna.

Nowe czy stare?

Czy potrzebujemy więc nowych interpretacji arcydzieł? Wygląda na to, że tak. Z jednej strony nowe tłumaczenie nie unicestwia ani nie wyklucza starego. Czytelnik może sam wybrać, która wersja bardziej do niego przemawia. Z drugiej strony jednak, gdy tłumacz podejmuje się zadania przełożenia znanego już dzieła, to chce to zrobić lepiej niż poprzednik. Idealną puentą wydają się słowa Wojciecha Charchalisa, który powiedział, że jego przekład *Don Kichota* ma 1200 stron, a praca nad nim zajęta mu 8 lat i nie chciałby, aby był stawiany na równi ze starszymi wersjami.



fot. Bogna Kociumbas

Nadzieja w mroku Internetu Debata o McLuhanie w epoce algorytmów

⇒ [Julia Kapała](#)

Środek przekazu sam jest przekazem – mawiał Marshall McLuhan. Co z dziedzictwa słynnego kanadyjskiego teoretyka mediów może nam pomóc w zrozumieniu zagrożeń, które dziś niesie ze sobą Internet, i gdzie upatrywać nadziei na lepszą przyszłość?

Jak zapowiedział prowadzący Mirosław Filiciak, osiądębaty miało być dziedzictwo McLuhana, którego praca i twórczość zbiegły się w czasie z okresem wielkich zmian w dziedzinie komunikacji i mediów. Tak jak McLuhan w latach 70. obserwował rozwój telewizji, tak my dzisiaj jesteśmy świadkami transformacji mediów, które działają już w sieci. Ciężko zaprzeczyć kolosalnej roli Internetu w dostępie do komunikacji i informacji, ale jak podkreślił prowadzący, nie sposób też oprzeć się wrażeniu, że jednak coś poszło nie tak.

Kryzys epistemologiczny w świecie nieograniczonych danych – co poszło nie tak?

Derrick de Kerckhove poruszył tę kwestię, nawiązując do swojego najnowszego artykułu o industrializacji fake newsów i kryzysie komunikacji. – *Dzisiejsza sytuacja to efekt, a przyczyną jest to, że Internet stworzył radykalną transformację w komunikacji międzyludzkiej* – przekonywał. Padły słowa o tym, jak ogromną moc posiada ktoś, kto ma prawo głosu, a w niektórych przypadkach prowadzi to do chęci tworzenia fake newsów, które często znajdują sporą rzeszę odbiorców.

Żyjemy w epoce komunikacji natychmiastowej, a każdy przekazuje jakąś treść. Co z algorytmem? Jak wspomniał Derrick de Kerckhove, to właśnie algorytm jest w pewnym sensie odpowiedzialny za kryzys po-znawczy i komunikacyjny, gdyż to algorytm sprowadza

Walcząc o sprawiedliwość Debata o Pierwszych Narodach Kanady

⇒ [Klaudia Czaboryk](#)

Co zrobić z wstydliwymi rozdziałami historii kraju – zignorować i zapomnieć czy może przeprosić i wyciągnąć wnioski? Kanada po raz kolejny pokazuje, że choć nie jest idealna, to z całych sił stara się być coraz lepsza. A my możemy się od niej dużo nauczyć.

W piątkowe popołudnie w Państwowej Galerii Sztuki w Sopocie odbyła się pełna emocji debata prowadzona przez prof. Monikę Płatek zatytułowana *Pierwsze Narody Kanady*, w której udział wzięli prawnik Steven Cooper, pisarka i dziennikarka Joanna Gierak-Onoszko oraz pisarka Tanya Talaga. Na spotkanie przyszło wiele osób, w tym Ambasadorka Kanady, Leslie Louise Scanlon, a gromkie brawa na końcu świadczyły o tym, że było warto debatować na tak ważny temat.

Lepsza Kanada

Większość z nas z Kanadą po raz pierwszy zetknęła się już w dzieciństwie, prawdopodobnie czytając urokliwą powieść Lucy Maud Montgomery *Ania z Zielonego Wzgórza*. I taki sielsko-anielski obraz tego fascynującego kraju mieliśmy (i mamy) w głowie od lat. Dlatego reportaż Gierak-Onoszko *27 śmierci Toby'ego Obeda* wywołał wielkie emocje i zburzył naszą idealną wizję. Okazało się nagle, że zło i cierpienie jest częścią historii tego kraju, ponieważ dokonano tam kulturowego ludobójstwa rdzennych mieszkańców. Jak podkreślali jednak goście w czasie debaty, Kanada jest krajem, który otwarcie mierzy się z bolesną przeszłością, szuka zadośćuczynienia, a co najważniejsze, nie ukrywa prawdy. Gierak-Onoszko stwierdziła, że Kanada może być stawiana dla wszystkich za przykład, ponieważ pokazuje, że można (i trzeba) przejść od „tylko nie mów nikomu” do „powiedzmy wszystkim”. Oczywiście nie jest to proste, potrzeba jeszcze dużo pracy i czasu, bo, jak powiedziała Talaga, ciągle istnieją społeczności rdzennych mieszkańców, które w 2020 roku nie mają dostępu do bieżącej wody. By dokonać zmian, potrzebne jest nie tylko większe wsparcie rządzących, ale także zwykłych obywateli.

Pierwsze Narody

Talaga, autorka *Seven Fallen Feathers*, uświadamia, że Pierwsze Narody były w Kanadzie od zawsze. Mają swoją historię. To nie tak, że przed odkryciem Krzysztofa Kolumba nie było tam ludzi. Co więcej, kolonizatorzy zmienili życie rdzennych ludzi, zajmując ziemię, którą uważali za niczyją, a która tak naprawdę należała do Pierwszych Narodów. Jej ojciec, który z pochodzenia był Polakiem, przyjechał do Kanady za lepszym życiem, bo rząd rozdawał ziemię. Co gorsza, powstawały rezerваты ⇒

dla rdzennych dzieci, które były miejscem kaźni. Ludzie ginęli, żeby zrobić miejsce dla osadników. Szkoły z internetem nie miały edukować, miały wpoić pewien sposób myślenia – z rdzennych mieszkańców zrobić przykładnych i, jak mówi Steven Cooper, użytecznych obywateli europejskich kolonii. Ludzie mieli się zasymilować lub zniknąć. Istniały szpitale przeznaczone tylko dla Pierwszych Narodów, do których się wchodziło, ale już raczej się z nich nie wychodziło. Niedawno odkryto, że przeprowadzano na ludziach eksperymenty medyczne. Mało kto wie, jak zauważa prof. Płatek, że Kanadyjski Indian Act, czyli ustawa dająca rządowi Kanadyjskiemu wyłączone prawo do decydowania o „Indianach i ziemiach zarezerwowanych dla Indian”, była użyta jako wzór do apartheidu w potężnej Afryce.

Rola Europy

Autorka 27 *Śmierci Toby’ego Obeda* zauważa, że to, co wydarzyło się w Kanadzie, ma źródło w europejskiej wyższości. Nasze prawo do podbijania i kolonizowania wyrządziło wiele zła. Dlatego teraz tak naprawdę obserwujemy, jak inni płacą za nasze grzechy, grzechy Europejczyków. Kanada naprawia nasze błędy. Bo to nie jest tak, że zło materializowało się tylko w Kanadzie, chodzi o pewne mechanizmy, które występowały i, niestety, ciągle występują na całym świecie. Reportaż Gierak-Onoszko to wbrew pozorom książka uniwersalna, która, jak powiedziała autorka, ma dawać nadzieję na pojednanie. Kanada występuje nie tylko jako kraj, który próbuje teraz zadość uczynić i przeprosić za to, co wydarzyło się na ich ziemi, ale także jako kraj, który ma odwagę przyznać się do tej części historii, o której zapewne wolałby zapomnieć. Gierak-Onoszko przyznaje, że Kanada to kraj paradoksu, ale jeśli komukolwiek uda się zbudować w pełni sprawiedliwe państwo, to będzie to właśnie Kanada.



fot. Bogna Kociumbas

Między erotyczną igraszką a demonem

Spotkanie z Wojciechem Szotem

⇒ [Dominika Stańkowska](#)

Zofia Sadowska zawsze mówiła wprost. Domagała się, by świat był opowiedziany z perspektywy kobiecej. Jednocześnie jako lesbijka była widziana jako zagrożenie.

Tę zapomnianą postać przywraca naszej pamięci Wojciech Szot w debiutanckim reportażu *Panna Doktor Sadowska*. – *Publiczny wizerunek lesbijki w latach 20. XX wieku był bardzo negatywny. Znajdował się pomiędzy erotyczną igraszką a demonem u Witkacego* – wyjaśnia.

Lekarka uwikłana w miłość homoseksualną
Sadowska najbardziej kojarzona jest z absurdalnych doniesień prasowych. Brukowce publikowały sensacyjne informacje o оргiach, które odbywały się w jej gabinecie lekarskim. Oskarżali ją o organizowanie perwersyjnych imprez, niemoralne prowadzenie się, uwodzenie pacjentek, posiadanie kochanek i doprowadzenie do rozpadu kilku rodzin.

– *Niezależnie od tego skandalu i tego, co brukowce wysywały, historia sprawiła, że Sadowska stała się zwykłą lksińską* – wyjaśnił dziennikarz. Szczególnie prasa satyryczna skupiała się na skandalu związanym z Sadowską. – *I tu jest największy dramat tej historii* – wyjaśnił autor. Izba Lekarska podjęła dochodzenie w sprawie lekarki-lesbijki. Odebrano jej prawo wykonywania zawodu. – *Wprost z tego powodu, że jest lesbijką* – dopowiedział Szot. Jednakże dzięki kruczkom prawnym udało się anulować decyzję Izby Lekarskiej.

Lekarka nie przejmowała się przeciwnościami losu. Paulina Małochleb, prowadząca spotkanie, zauważyła: – *Sadowska była niezależna w myśleniu, ale bardzo progresywna. Szybciej niż inni widziała różne zagrożenia. Jej działalność feministyczna i cała tożsamość opierała się na niezależności*. Szot dopowiedział: *Sadowska należała też do uprzywilejowanej klasy bogatego mieszczaństwa arystokratycznego i przemysłowego. Obracała się wśród ludzi zamożnych. Jako lekarka miała wysoki status społeczny i musiała dużo zarabiać, skoro była ją stać na zakup kamienicy. Ta klasa też ją chroniła i otaczała kokonem. Dlatego szła do przodu i nie przejmowała się*.

Aktywna działaczka

Lekarka powinna być znana nie tylko z doniesień brukowców, ale także ze swojej szerokiej działalności społeczno-obyczajowej. Jako pierwsza Polka uzyskała tytuł doktora na petersburskiej uczelni. Angażowała się w działalność społeczną. Założyła Związek Kobiet Polskich wraz z innymi działaczkami. W czasie I wojny światowej kierowała szpitalem rosyjskiego Czerwonego Krzyża. – *Po powrocie do Warszawy trafiła na takie salony, w których rozmawiano się wyłącznie o tym, żeby kobiety miały prawa wyborcze i były obecne w formującym się rządzie* – opowiada Szot. – *Sadowska była jedną z trzech kobiet, które poszły do Piłsudskiego, by upomnieć się o prawa dla kobiet*. Jej warszawskie mieszkanie było ważnym miejscem ruchu emancypacyjnego. Sadowska założyła też pierwszy wyborczy Klub Kobiet, który miał je zachęcić do udziału w wyborach.

Ikona homoseksualizmu?

W związku z kontrowersjami, jakie w tamtym czasie wzbudzała postać lekarki, sam autor musiał być maksymalnie podejrzliwy wobec swojego materiału reporterskiego. – *To było bardzo trudne* – odparł. – *Mogłem zakwestionować wszystko. Mogłem stworzyć historię o miłej i sympatycznej ofierze homofobicznego patriarchalnego systemu. Z drugiej strony w każdej plotce jest ziarno prawdy, więc może faktycznie była osobą zadziorną*. Autor w trakcie redakcji reportażu starał się dystansować od swojej głównej bohaterki. – *Można naiwnie mówić, że chcemy pokazać bohaterkę czytelnikowi, ale to my jesteśmy odpowiedzialni za mówienie o niej* – stwierdził Szot. – *W końcu będzie taki moment, że ja zamilknę i zobaczymy, co wtedy się z nią stanie*.



fot. Bogna Kociumbas

Zapisywać, by zapomnieć

Spotkanie z Barbarą Sadurską

⇒ [Aleksandra Suchecka](#)

Moja książka nie jest elitarna, każdy może ją czytać
– **stwierdziła podczas spotkania Barbara Sadurska, przecząc ogólnej opinii krytyków, którzy przyjęli traktować Mapę jako literackie wyzwanie.**

Sadurska jest autorką nagradzanych scenariuszy filmowych i teatralnych, a także prawniczką. Jej debiutancki zbiór opowiadań *Mapa* otrzymał nominację do Nagrody Literackiej im. Witolda Gombrowicza.

Nie chciałam być pisarką

Debiut Sadurskiej może wydawać się nietypowy, choćby ze względu na wiek autorki oraz kreację świata przedstawionego. Jak zauważyła Paulina Małochleb, prowadząca spotkanie, typowy polski debiutant liczy około 30 lat, pisząc zazwyczaj książkę silnie autobiograficzną. – *Niecodziennosc mojego debiutu wynika z faktu, że nie chciałam publikować żadnego tekstu, w ogóle nie chciałam zostać pisarką* – przyznała Sadurska. Podczas spotkania czytelnicy mieli okazję poznać genezę powstania tomu oraz powody, dzięki którym autorka zdecydowała się wydać teksty nieprzeznaczone do publikacji.

Debiut na światowym poziomie i nowa jakość w literaturze

Spotkanie z Natalką Suszczyńską

⇒ [Paulina Frankiewicz](#)

Nie codziennie można usłyszeć tak wielką pochwałę z ust innej pisarki. W ten sposób Barbara Sadurska skomplementowała Dropie Natalki Suszczyńskiej. Debiutantkę przepytowała Bernadetta Darska.

Pierwsze od miesiąca spotkanie w księgarni Smak Słowa, która kilka dni temu świętowała swoje pierwsze urodziny (sto lat!), otworzyło nowy cykl Literackiego Sopotu: rozmowy o debiutach. A jak debiuty, to Korporacja Ha!art, która nie boi się wydawać nowych nazwisk. Krakowska oficyna jest również gwarantem wypuszczania na rynek literatury zaangażowanej.

Niewesołe żarty

Dropie są bowiem opowieścią o prekariacie, o tych, którzy jadą na resztkę paliwa i nie mają widoków na kolejne tankowanie. Suszczyńska kreuje specyficzne sytuacje i scenografie. Mówi o sobie, że nie jest optymistką i trochę na przekór temu napisała książkę groteskową, ironiczną, zabawną. A przede wszystkim literacką, stojącą okoniem wobec taniej publicystyki, która podejmuje przecież podobne tematy.

Literackie wybory

Pytana o wzorce Suszczyńska odpowiada, że inspiruje ją raczej poezja, której udaje się uchwycić to, co ważne w dziejącej się na naszych oczach rzeczywistości. W niej widzi świeżość i wartościowy przekaz, proza zdaje się tu nie nadążać. Autorka przyznaje się również do autobiograficznych wątków w swoim pisaniu. Krótka forma nie jest dla niej substytutem czy namiastką powieści, ale równoważyciowym, świadomym wyborem, pozwalającym na eksperymentowanie i próbowanie się w różnych konwencjach i stylach. Na zbiór opowiadań, jakim są *Dropie*, składa się wybór tekstów książkowej debiutantki, jednak doświadczona autorki opowiadań, publikującej w niejednym literackim czasopiśmie.

Rozczarowanie i nadzieja

Suszczyńska nie podrzuca czytelnikom kluczy interpretacyjnych. Zdradza jedynie, że *Dropie* można czytać jako opowieść o poszukiwaniu tożsamości, o samotności i wreszcie o dorosłości, która, gdy nadchodzi, okazuje się zgoła inna, niż nam obiecywano. Wyziera z *Dropiów* rozczarowanie światem. Ale to też lektura budząca nadzieję na poruszenie i ferment w polskiej prozie.



Debiut nieoczywisty Spotkanie z Jędrzejem Napieckiem

⇒ [Julia Kapata](#)

Kiedy twoje pisarstwo inspirowane doświadczeniami osobistymi nikogo nie interesuje, możesz napisać powieść historyczną – i tak zrobił Jędrzej Napiecek. Autor powieści historycznej *Król, który uciekł* przedstawia alternatywną historię elekcji Henryka Walezego na króla Polski.

Prowadząca spotkanie Bernadetta Darska zaczęła od pytania właśnie o temat debiutu. Zaznaczyła, że przeważnie mają one charakter autobiograficzny. Autor bezceremonialnie odparł, że owszem, pisał już na tematy związane z doświadczeniami osobistymi, ale wydawców to nie interesowało. Na przekór sobie postanowił więc uciec daleko, kilkaset lat wstecz. Finalnie okazało się jednak, że w tej książce jest wiele z niego, więc jak sam stwierdził, od wątków osobistych chyba nie udało się tak do końca uciec.

Scenariusz na książkę

Kto czytał *Króla, który uciekł* ten wie, że równie zachwycająca, co sama historia, jest jej warstwa językowa, urzekająca nie tylko znawstwem tematu, ale przede wszystkim umiejętnym lawirowaniem między historią a współczesnością. Zapytany o początki swojego procesu twórczego, Napiecek przyznał, że na początku powstał

scenariusz filmowy (autor jest absolwentem łódzkiej Szkoły Filmowej), a dopiero potem narodził się pomysł zaadaptowania go na powieść.

Napiecek przyznał także, że długo zastanawiał się nad koncepcją książki, szukał dla niej odpowiedniej dramaturgii. Potwierdził, że warsztatowe przygotowanie niewątpliwie pomogło mu w stworzeniu i opowiedzeniu tej historii, a dzięki temu, że jest to powieść, a nie film, to mógł sobie pozwolić na rozwinięcia, które w filmie byłyby niemożliwe. – *W scenariuszu nie można sobie pozwolić nawet na jedną zbędną liniijkę dialogu, ponieważ to generuje dodatkowe koszty* – wyjaśniał. Przy książce było inaczej, dzięki czemu zgromadzony materiał dokumentalny mógł zostać wykorzystany.

Lepiej pisać dobre zakończenia

Prowadząca zwróciła uwagę na uniwersalny wymiar książki, zwracając się do autora z sugestią, że jest to opowieść o tym, że władza deprawuje. – *Nie taka była moja intencja* – przyznał Napiecek. – *To raczej historia o tym, jak można odkryć człowieka we wrogu, którego się uprzednio dehumanizowało*. Dodał, że na końcu powieści wchodzimy w postać owego „wroga”, zaczynamy go lepiej rozumieć. – *Zawsze wierzę, że jest jakieś dobre rozwiązanie, pesymizm sprawia, że człowiek kapituluje i to jest nierozwojowe. Jestem z Wielkopolski i lubię działać* – dodał z uśmiechem.

Król, który uciekł często porównywany jest do Gry o tron. Napiecek przyznaje, że tworząc postać Karła, liczył się z tym, że takie porównania się pojawiają, ale zupełnie mu to nie przeszkadza, bo być porównywanym z książką Georga R. R. Martina to żaden wstyd. Sam inspirował się jednak głównie filmami, a nie literaturą. Wśród tych, które miały największy wpływ na tę powieść, wymienił *Amadeusza* oraz *Faworytę*. – *Dowcip, dystans i nowoczesność* – podsumowała twórczość Napiecka prowadząca.

fot. Bogna Kociumbas



W otwartej przestrzeni Czytanie performatywne dramatu *Kamień i popioły*

⇒ [Dominika Stańkowska](#)

To nie było zwyczajne czytanie performatywne. Na około półtorej godziny aktorzy zabrali nas z upalnego, pochmurnego Grodziska prosto w świat dramatu *Kamień i popioły* Daniela Danisa.

Po tragicznej śmierci żony Clermont i jedenastoletnia Pascale przenoszą się do prowincjonalnego miasteczka. Próbuja zacząć życie od nowa. Ojciec zajmuje się remontem gospodarstwa, a córka chodzi do szkoły. W okolicy rządzi pięcioosobowy gang, na którego czele stoi Shirley. Wspólnie spędzają czas i planują różne zawiadackie akcje. Jej najbliższym kumplem jest Jajco. Młoda kobieta jednak niespodziewanie zakochuje się w Clermontcie.

Shirley jednak stoi na rozdrożu. Nie potrafi podjąć decyzji, czy wystarczy jej życie u boku zwykłego mężczyzny, czy powinna dalej być silną przywódczynią lokalnego gangu. Powoli rozwijający się romans powoduje zmianę dynamiki w grupie przyjaciół i w rezultacie prowadzi do tragedii.

Czy jeszcze jesteśmy w Sopocie?

Reżyserce Justynie Bartosiewicz wraz z aktorami Markiem Tyndą (Clermont), Dorotą Androsz (Shirley), Michałem Jarosem (Jajco) i Agatą Woźnicką (Pascale) udało



fot. Bogna Kociumbas

się przywołać mikroświat dramatu Danisa wraz z jego małomiasteczkowością, skomplikowanymi bohaterami, atmosferą zaściankowości i strachem przed obcością. Każdy z aktorów w krótkich monodramach odkrywał inny fragment historii. Przedstawiał wydarzenia ze swojej perspektywy: Shirley, gdy zdecydowanie krzyczała do chłopaków i gdy mówiła dziewczęcyim głosem, opowiadając o Clermontcie; zazdrosny i porywczy Jajco, którego pełno było na scenie; jego przeciwieństwo – małomówny Clermont w białym, wymiętym podkoszulku i opadających, za dużych spodniach i wreszcie młodziutka Pascale, która opowiadała o swoich nastoletnich przeżyciach.

Mimo że tłem dla spektaklu były drewniane zabudowania sopockiego Grodziska, które mieszczą się w środku lasu, aktorzy przywołali klimat prowincjonalnego miasteczka. Wykorzystali to, co już znajdowało się na miejscu: drewniane pieńki, ognisko, patyki, drzewa i narzędzia. Zrobili to w taki sposób – czasami wbrew pierwotnym przeznaczeniom rzeczy – aby służyło rozgrywającym się wydarzeniom. Całość dopełniała muzyka w wykonaniu Irka Wojtczaka.

(Nie)zwykłe love story

Dramat Danisa to z pozoru zwykła historia miłosna z tragicznym zakończeniem. To w połączeniu z krótkimi monologami, podczas których aktorzy mało ze sobą współpracują, czteroosobową obsadą dramatu i właściwie brakiem konkretnych rekwizytów sprawia, że sukces inscenizacji zależy od pracy aktorów. Reżyserce wraz z aktorami udało się ożywić bohaterów *Kamienia i popiołów* na scenie Grodziska. Nie tylko udało im się przywołać zupełnie inne miejsce i czas, temperaturę i atmosferę wydarzeń, ale też ukazać każdego z bohaterów jako skomplikowaną wewnętrznie i zmieniającą się jednostkę. Aktorzy pokazali głęboko ukryte pragnienia i lęki swoich bohaterów: potrzebę przynależności do grupy, pragnienie bycia kochanym, obawę przed byciem odrzuconym czy odczuwanie zazdrości i wściekłości.

Człowiek-epopeja Czytanie fragmentów prozy Leopolda Tyrmanda

⇒ [Emilia Sierżputowska](#)

Proza nieubłaganego Krytyka polskiej inteligencji i bystrego obserwatora z uchem do detali, wychwytyjącym każdą fałszywą nutę, wciąż uderza w znajome struny. Na Scenie Kameralnej Teatru Wybrzeże ożyła śmietanka towarzyska powojennej Warszawy.

Inspiracją do przypomnienia i ponownego odczytania prozy Leopolda Tyrmanda były przypadające na 2020 rok setna rocznica urodzin i trzydziesta piąta rocznica śmierci pisarza. Obchody Roku Tyrmanda widoczne były także podczas Literackiego Sopotu.

fot. Bogna Kociumbas



Duch tamtych czasów

W sobotni wieczór podczas czytania performatywnego fragmentów *Życia towarzyskiego i uczuciowego* słysząc było pełen uznania śmiech publiczności. Choć pierwotne opisywane postaci mogą być niemożliwe do zidentyfikowania, to duch tamtych czasów był bardzo łatwy do uchwycenia.

Człowiek-epopeja – mówił o Tyrmandzie jego przyjaciel Stefan Kisielewski. Niedopuszczone do druku w PRL-u *Życie towarzyskie i uczuciowe* przedstawia obraz towarzyskiej i opiniotwórczej sfery polskiego społeczeństwa w przełomowym momencie historycznym, czyli w latach 1946–1959.

Wszystko w rodzinie

Dialogi odegrane przez Małgorzatę Brajner i Michała Kowalskiego przy akompaniamencie Izabeli Paszkiewicz przeniosły publiczność w codzienność małżeństwa Elżbiety i Andrzeja. Przyjęcia, koneksje, interesy, polityka, romanse. Nowy samochód i pragnienie życia jak za granicą. Poznajemy krąg ludzi, którzy nieustannie o sobie plotkują i punktuja swoje słabe strony, mimo że wszyscy zdają się żyć w przekonaniu, że to nie dzięki moralności da się przetrwać w Warszawie, czy też raczej – Warszawie.

Historia pewnej rodziny

Czytanie *Kapelusza całego w czereśniach*

⇒ **Klaudia Czaboryk**

Dlaczego pojawiłam się na świecie? Jaka jest historia mojej rodziny? Co sprawiło, że jestem tym, kim jestem? Kim byli moi przodkowie? Te pytania zadała sobie Kiedyś Oriana Fallaci, włoska dziennikarka i pisarka, a później udzieliła na nie odpowiedzi w swojej wybitnej książce *Kapelusz cały w czereśniach*.

Jednym z wydarzeń zamykających tegoroczną edycję festiwalu było czytanie performatywne sagi rodzinnej Fallaci. Odbędzie się w plenerze, u podnóża Łysej Góry w Sopocie. To właśnie tam wszystkich przybyłych swoim występem zaczerpnie Krystyna Janda czytająca fragment *Kapelusza całego w czereśniach*. I tak na łonie natury, przy zachodzącym słońcu, urzeczeni głosem wspaniałej aktorki byliśmy świadkami końca kanadyjskiej edycji Literackiego Sopotu i z ciekawością zaczęliśmy wyczekiwać włoskiej.

Prawda czy fikcja?

Kapelusz cały w czereśniach opowiada losy kilku pokoleń rodziny Fallaci. Rodzinna historia włoskiej dziennikarki pokazuje, że życie bywa ciekawsze niż fikcja. Choć, jak przyznała Fallaci na początku swojej powieści, nie wszystkie opisywane przez nią wydarzenia wyglądały tak, jak w jej sadze. Powoływała się na pamiątki rodzinne i opowieści nieżyjących już rodziców, ale czasami również dawała się ponieść wodzom fantazji i nie wiedziała, czy to, co pisze, wydarzyło się naprawdę. Dlatego jej dzieło czyta się z zapartym tchem, zastanawiając momentami, czy to może być prawda, a ten brak pewności sprawia, że lektura jest ekscytująca.

Caterina

W niedzielę mieliśmy okazję wysłuchać jednego z ciekawszych i zabawniejszych fragmentów dzieła Fallaci. Krystyna Janda przybliżyła nam postać Cateriny – heretyczki, kobiety z silnym charakterem marzącej jedynie o tym, żeby nauczyć się czytać i pisać. Caterina poślubiła

Carla Fallaci tylko z jednego powodu – obiecał ją kształcić. Zgadzając się na zamążpójście, młoda kobieta miała więc silną motywację, która lekko osłabła, gdy zobaczyła swój nowy dom. Będąc ateistką, z obrzydzeniem odkryła, że dom nie dość, że jest w pobliżu kościoła, to jeszcze w środku sam przypomina świątynię. Pokrzepiona jednak słowami świeżo poślubionego męża nie uciekła, co więcej, doprowadziła dom i okolice do stanu świetności, w którym nigdy wcześniej nie były. Odkrywszy, że jest w ciąży, zmusiła Carla do przyspieszenia nauki czytania i pisania, a dzięki swojej determinacji i inteligencji osiągnęła cel szybciej niż można się było spodziewać. Jej charakter, gotowość do mówienia tego, co myśli bez ogródek i czytanie w wykonaniu Jandy sprawiały, że co chwila dało się słyszeć śmiech lub zauważyć zdziwienie i niedowierzanie na twarzach uczestników. Co ciekawe, Caterina jako kobieta odważna, bystra i pewna swego okazała się dla pisarki inspiracją. Fallaci odnalazła wiele cech, które łączyły ją z tą osiemnastowieczną chłopką.

Kim jestem?

Czytając powieść Fallaci, zaczynamy sami zastanawiać się nad historią swojej rodziny. Czy gdybyśmy poszli śladami włoskiej dziennikarki i zgłębili losy przodków, odkrylibyśmy równie imponujące historie, wielkie osobistości i tragiczne miłości? Może, tak jak ona, znaleźlibyśmy dawnych krewnych, z którymi mamy wiele wspólnego. Uniwersalną cechą ludzką zdaje się być chęć znalezienia odpowiedzi na pytanie „Kim jestem?”. Fallaci znalazła upragnioną odpowiedź.

”
Byliśmy świadkami
końca kanadyjskiej
edycji Literackiego
Sopotu i z ciekawością
zaczęliśmy
wyczekiwać włoskiej.



fot. Bogna Kociumbas



Redaktor naczelna: Ula Rybicka

Zespół redakcyjny: Magdalena Bojanowska, Klaudia Czaboryk, Paulina Frankiewicz, Julia Kapała, Dominika Prais, Emilia Sierżputowska, Dominika Stańkowska, Aleksandra Suchecka

Korekta: Agnieszka Kochanowska

Projekt graficzny i skład: Anita Wasik

Napisz do nas: redakcja@literackisopot.pl

Wszystkie materiały objęte są prawem autorskim. Przedruk lub kopiowanie całości lub fragmentów materiałów możliwy jest wyłącznie za wcześniejszą pisemną zgodą wydawcy – Goyki 3 Art Inkubatora.

Dofinansowano ze środków Miasta Sopotu oraz Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego pochodzących z Funduszu Promocji Kultury



Goyki 3
Art Inkubator

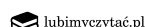


Ministerstwo
Kultury
i Dziedzictwa
Narodowego



Festiwal wspiera FACEBOOK

patroni medialni:



partnerzy:



www.literackisopot.pl